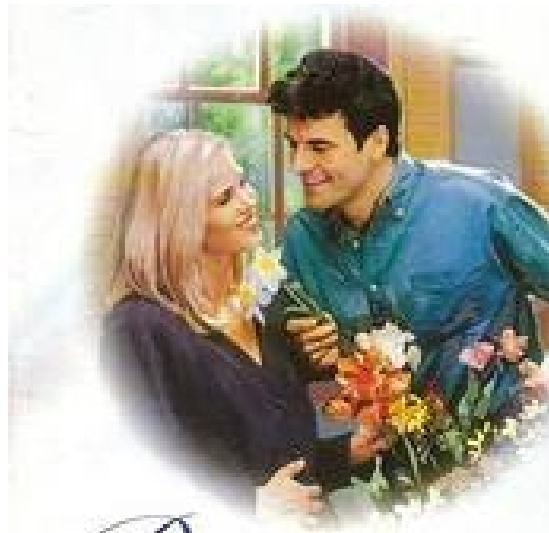




Leiber Vivian Porucznik i panna

Tytuł oryginału:

Soldier and the Society Girl



PROLOG

W eleganckim gabinecie na ósmym piętrze budynku departamentu stanu panowała nabożna cisza. Oczy obecnych skierowane były na ekran telewizora umieszczonego na jednej z półek z książkami zajmujących całą ścianę. Oglądano magnetowidowe nagranie.

Szef sztabów połączonych, wielogwiazdkowy generał, głośno chrząknął i powiedział:

- Chyba ze sto razy oglądałem to podczas weekendu i nadal robi na mnie olbrzymie wrażenie. - Jakby ukradkiem wrzucił szybko sześć kostek cukru do podanej mu przed chwilą filiżanki kawy. Miał słabość do słodczy, ale wolał się z tym nie afiszować. - Chyba nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z bohaterem, prawdziwym cholernym bohaterem. Mało jest teraz takich i ten bardzo się nam przyda.

- Bardzo się przyda - potwierdził siedzący obok kongresman z Nowego Jorku. - I dość już widzieliśmy. Czas na działanie. - Pilotem wyłączył magnetowid i wygasił telewizor. - Chcę go mieć w Nowym Jorku na święto Czwartego Lipca.

- Mowy nie ma! - zaprotestował generał. - Ściągniemy go do Waszyngtonu. Czwartego Lipca musi go mieć stolica.

Kongresman z Nowego Jorku zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

W gabinecie ponownie zapanowała cisza, tym razem raczej napięta. Miało się wrażenie, że obecni wstrzymali oddech. A obecnych było wielu,

przede wszystkim gospodarz tego gabinetu, podsekretarz stanu, Winston Fairchild Trzeci, który zorganizował konferencję, a następnie - oprócz generała i kongresmana z Nowego Jorku - trzech innych kongresmanów, przedstawiciel prezydenta i ministra obrony, paru adiutantów i wreszcie kilku sekretarzy osobistych przybyłych tu dostojników.

Widomym dowodem, że jest to nie byle jaka konferencja, była delikatna porcelana, w której podano kawę, a nie zwyczajowe plastikowe kubki.

Winston Fairchild Trzeci przerwał ciszę szelestem kartek, które wyjął z grubej koperty. Dostojnik ten nie był ot, takim sobie, zwykłym urzędnikiem. Pochodził z rodu, który od kilku pokoleń pociągał za sznurki za kulisami wielkiej polityki. Jego praprapradziadek był adiutantem samego George'a Washingtona, pradziadek doradził Lincolnowi, by zgolił sobie wąsy, a ojciec w oczy powiedział prezydentowi Franklinowi Delano Rooseveltowi, że cygara doprowadzą go do grobu.

Nic więc dziwnego, że Winston Fairchild nie bał się szefów sztabów i kongresmanów. Miał zresztą bardzo złą opinię o klasie politycznej i wiedział, że każdy z obecnych tu dziś w jego gabinecie może za rok zapaść się w nicość, przechodząc na emeryturę, czy też ze wstydu, zhańbiony jakimś skandalem, podczas gdy on, Fairchild Trzeci, pozostanie tu, gdzie jest.

- Ten McKenna może poprawić wizerunek armii - oświadczył, nie owijając sprawy w bawełnę. - A w chwili obecnej jest to nam bardzo potrzebne. Bardzo! - dodał, patrząc znacząco na generała.

- Całkowicie się z tym zgadzam - przytaknął generał.

- Porucznik Derek McKenna, lat trzydzieści jeden... - Oddał sekretarzowi plik kartek, polecając rozdać obecnym. - Oto jego biografia.

Krótką, ale jakże wymowną. McKenna miał dobre stopnie w szkole średniej. Po roku college'u zrezygnował z dalszych studiów i wrócił na rodzinną farmę, by pomóc ojcu borykającemu się z kłopotami. Postawił farmę na nogi i po dwu latach zaciągnął się do wojska. Jest oficerem zawodowym. Na stronie siódmej, w załączniku B jest wykaz otrzymanych przez niego medali.

Wszyscy, z wyjątkiem generała, zagłębili się w lekturę załącznika B.

- No i wreszcie ten Irak. Już panowie wiecie, co wydarzyło się McKennie i jego ludziom w Iraku...

W swoim czasie wiele nawet o tym pisano. McKenna i jego ludzie stanowili jednostkę należącą do większej formacji wysłanej na pogranicze irackie w celu udzielenia pomocy humanitarnej powstańcom kurdyjskim. Depesze agencyjne doniosły, że McKenna i jego ludzie zginęli zabici przez iracką gwardię republikańską. W rezolucji ONZ określono to jako morderstwo, a prezydent w telewizyjnym wystąpieniu określił to mianem zbrodni. Negocjatorzy kongresu nie wytargowali nawet zwrotu ciał zabitych, „New York Times” natomiast opublikował artykuł pełen pogroźek pod adresem Iraku. I na tym się skończyło, o całej sprawie zapomniano, a szpalty gazet wypełniła kolejna sensacja - proces sławnej hollywoodzkiej gwiazdy.

McKenna powrócił na pierwsze strony gazet przed tygodniem, gdy nadeszła kolejna wiadomość, że zdrów i cały wraz ze wszystkimi swoimi żołnierzami, przekroczył granicę turecką. Tyle że wyglądał teraz nieco inaczej - miał czuprynę dzikusa, brodę po pas, twarz opaloną na ciemny brąz, a na sobie arabską szatę. On i jego żołnierze umknęli z więzienia w Bagdadzie i pieszo powędrowali do granicy. Zmartwychwstałych przewie-

ziono czym prędzej do amerykańskiego szpitala w bazie wojskowej w Wiesbaden w Niemczech.

McKenna, zbadany, wykąpany, ostrzyżony i bez brody, poszedł spać, nie podejrzewając, że następnego dnia zostanie okrzyczany bohaterem narodowym.

Dżentelmeni na ósmym piętrze budynku departamentu stanu byli zgodni co do jednego: tak wspaniałej okazji nie wolno zmarnować.

- Prezydent uważa, że natychmiast należy rozpocząć maksymalną eksploatację obiektu - odezwał się przedstawiciel Białego Domu. - McKenna musi być wszędzie pokazywany. W każdym okienku telewizyjnym podczas parad wojskowych, uroczystości rocznicowych i promocji w sztabach oficerskich...

- No i na bankietach z okazji zbiórki na fundusz wyborczy - przerwał mu szef sztabów połączonych.

- Ależ skąd! To mi nawet do głowy nie przyszło - zaproponował przedstawiciel Białego Domu. - To byłoby... niewłaściwe. Nawet nie należy na ten temat żartować. Niemniej zgadzamy się chyba, panowie, że każdy powinien coś z tego mieć, prawda?

Panowie przytaknęli.

- Zastanówmy się wobec tego, jak podzielić tort - zażartował przedstawiciel Białego Domu.

Winston Fairchild zareagował skrzywieniem ust na tak niesmaczny dowcip.

- Panowie, najwyższy czas przedstawić wam naszego bohatera! - Dał znak ręką i po chwili do gabinetu wszedł bohater narodowy, czyli „obiekt do eksploatacji”, jak wyraził się przedstawiciel Białego Domu.

Przez następne cztery godziny trwała zażarta dyskusja, podczas której McKenna milczał jak zaklęty. Kiedy jednak wypowiedziano ostatnie słowo i osiągnięto pełne porozumienie, wszystkie minuty życia porucznika Dereka McKenny zostały dokładnie zagospodarowane na okres następnych sześciu miesięcy.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie - powiedział wreszcie krótko i stanowczo porucznik Derek McKenna.

Rozglądając się po zdumionych twarzach, widział, że jego odmowa nie dotarła do świadomości obecnych. Niektórzy otworzyli usta ze zdumienia, że ich wspaniały program nie dociera do tego... tego... porucznika, który ośmiela się powiedzieć „nie” swemu najwyższemu zwierzchnikowi wojskowemu. Za kogo on się ma? Odmawiać generałowi, kongresmanom i osobistemu przedstawicielowi prezydenta? Niesłychane!

Ale Derek spędził dwa lata w piekle i podobnie jak Winston Fairchild nie odczuwał nadmiaru szacunku dla dziesięciu rzędów generalskich baretek i wyprasowanych garniturów od najlepszych krawców.

- Nie! - powtórzył Derek na wszelki wypadek, by wreszcie do wszystkich to dotarło.

Nie dotarło.

Trwało głucho milczenie, podczas którego kilkanaście par oczu wlepionych w Dereka usiłowało coś wyczytać z jego twarzy.

Generał jakby jęknął, a potem zapytał:

- Czy ja dobrze usłyszałem, synu? Powiedziałeś „nie”?

- Tak jest, sir! To znaczy, że nie, sir! To znaczy, że dobrze pan usłyszał, sir!

Derek McKenna nie miał najmniejszego zamiaru tracić więcej czasu na zwiedzanie świata w mundurze i na poszerzenie horyzontów myślowych,

jak to zapowiadały prospekty rekrutacyjne do szkół wojskowych. Zamierzał powrócić na farmę. I to już, teraz. Kentucky bardzo mu odpowiadało, konie też.

Zaczerpnął głębokiego oddechu i postanowił odezwać się raz jeszcze, wytłumaczyć wszystko, jak można najprzystępniej, tej nieco ograniczonej umysłowo gromadce czyhających na niego biurokratów.

- Powiedziałem nie, panie generale, i z całym szacunkiem, sir, ale przy tym pozostanę. - Bez skrepowania strącił grzbietem dłoni trzymany na kolanach przygotowany program „występów”, przed chwilą powielony i rozdany przez sekretarza. Generalski adiunkt czym prędzej się pochylił i podniósł z podłogi gęsto zadrukowaną stronę. - Nie mam najmniejszego zamiaru w tym uczestniczyć, panie generale... oczywiście z całym szacunkiem dla pana.

- Poruczniku...!

- Panie generale, ani razu nawet nie śniłem przez te dwa lata o tym, że jeśli wyjdę z tego żywy, to będę zarabiał na życie cyrkowymi występami w studiach telewizyjnych, opowiadając w kółko to samo, jak to było. Nie marzyłem też o tym, że zaprosi mnie pan prezydent do Białego Domu, żeby się ze mną sfotografować. Nie marzyłem również, że będą mi łąpę fundować senatorowie. Ani mi przez głowę nie przeszło, że mogę chcieć paradować po ulicach wielkich miast. Marzyłem przez cały czas o moich rodzinnych stronach, panie generale, w dzień i w nocy. O zielonych polach Kentucky...

Przez te dwa lata McKenna, przebywając w irackim więzieniu, zaplanował kilka etapów całkowitego przekształcenia rodzinnej farmy. A oprócz tego jego wszystkim myślom towarzyszył śpiew kentuckich cykad i

trzeszczenie starego bujaka, w którym po całym dniu pracy usiadzie na werandzie rodzinnego domu. Te marzenia były tak silne, że to one w efekcie zmusiły go do znalezienia drogi wymknięcia się z więziennego piekła.

A obecni w tym gabinecie panowie sądzili, że sama obecność McKenny w Waszyngtonie dowodzi, że taką drogę znalazł, bo Waszyngton był celem, do którego zmierzał.

Jednakże Derek uważał inaczej. I dlatego musiał teraz im odmówić.

- A poza tym, panie generale, mój kontrakt skończył się przed sześcioma miesiącami - dodał z diabelskim uśmiechem. - Jestem cywilem, nikt nie może mi nic kazać robić. - McKenna uprzytomnił sobie to wszystko mniej więcej w szóstym miesiącu przebywania w irackim więzieniu.

Mężczyzna w rogowych okularach, który dotychczas siedział cichutko w kącie gabinetu, pogrążony w dokumentach, podniósł głowę, odchrząknął i zabrał głos:

- Jestem Joe Morris, z departamentu sprawiedliwości. Otóż chyba pan zapomniał, poruczniku McKenna, że w specjalnych okolicznościach oficer może być zawsze ponownie powołany do służby czynnej lub w niej zatrzymany. Jeśli zachodzą specjalne okoliczności, podkreślam, i chciałbym zacytować panu kilka orzeczeń sądu najwyższego...

- Niech pan da spokój orzeczeniom sądu najwyższego i powie tylko, co trzeba zrobić, żeby zatrzymać oficera w służbie czynnej - warknął generał.

Morris, który po pierwszych słowach generała posmutniał jak dziecko pozbawione ukochanej zabawki, ponownie się ożywił i wyrecytował już z weselszą miną:

- Wystarczy dekret prezydencki, panie generale. I można okres powołania do służby czynnej wielokrotnie przedłużać i to tak długo, jak długo leży to w interesie narodowym. I właśnie sąd najwyższy...

- Połączcie mnie z prezydentem - polecił generał swemu adiunktowi i w powstałym po tych słowach lekkim zamieszaniu dorzucił do swej kawy jeszcze jedną kostkę cukru.

Derek podniósł głowę, wyprostował się i głęboko westchnąwszy, powiedział:

- Niech już będzie, panie generale. Zgadzam się. Na dwa tygodnie. Niech pan nie dzwoni do prezydenta.

- Trzy miesiące - oświadczył generał.

- Miesiąc.

Z kolei westchnął generał, który dobrze wiedział, że działa na bardzo śliskim gruncie, bo gdyby porucznik McKenna wypaplał wszystko prasie...

- Zgoda. Miesiąc - powiedział. - Musimy teraz przerabiać cały plan, psiakrew.

- Musimy przerobić cały plan - oświadczył Winston Fairchild swojemu osobistemu sekretarzowi.

- Tak jest, jutro rano przedstawię poprawiony harmonogram - odpowiedział sekretarz.

- Nie jutro, a zaraz. Siadaj za moim biurkiem i pisz. Poczekamy. Cały miesiąc podzielimy na trzy trzygodzinne występy, przepraszam, udziały w uroczystościach, po cztery uroczystości dziennie, to nam daje...

- Panie Fairchild - przerwał mu Derek. - Nawet w wojsku żołnierze podlegają rotacji i tak dalej. Dwanaście godzin dziennie to mnie zabije...

- Nic nie zabije - obruszył się generał. - To nie mają być trzygodzinne akcje bojowe, a czysta przyjemność. Jak seanse w kinie albo...

- Nigdy nie chodziłem cztery razy dziennie do kina, panie generale. Musiałbym chyba zwariować, żeby to robić - przerwał generałowi porucznik McKenna i rozparł się wygodniej na sofie. Założył nogę na nogę i oświadczył spokojnie: - Ale niech będzie. Mogę zacząć od przyszłego tygodnia.

- Od jutra, poruczniku!

- Najwcześniej za trzy dni.

- Niech pan nie opiera buta o ten stolik! - wykrzyknął nagle Winston Fairchild, widząc podszwę ze śladami smoły na politurowanym blacie stolika do kawy. - Ten mebelek kupiła żona Martina Van Burena... To jest narodowa pamiątka!

Wyższe piętra ponurego nowoczesnego budynku departamentu stanu otrzymały ostatnio nowy „antyczny” wystrój.

Derek McKenna nie zareagował na zwróconą mu uwagę, zwrócił się natomiast do Morrisa, prawnika departamentu sprawiedliwości:

- Czy byłby pan łaskaw pożyczyć mi pióro?

Morris podał usłużnie złote pióro marki Mont Blanc, ale Derek pokręcił głową.

- Zupełnie się nie nadaje. Zniszczyłbym je.

Adiutant generała podał mu zwykłe pióro kulkowe.

- Niech je pan do woli niszczy - powiedział z przekąsem.

- To co innego - odparł Derek, biorąc pióro. - Może się nie niszczy. - Wziął ze stołu puszkę z coca-colą, którą mógłby otworzyć bez trudu,

korzystając z kółka na wieczku, obrócił ją i wbił w jej dno pióro kulkowe. Podniósł puszkę z piórem i na kilka centymetrów od ust wyciągnął pióro jednym szarpnięciem. Strumień płynu popłynął mu prosto do gardła.

Dżentelmeni w gabinecie patrzyli na ten spektakl zupełnie osłupiali.

Porucznik McKenna potrafił zachować się jak dżentelmen, ale tym razem zupełnie świadomie zdecydował się odgrywać rolę dzikusa.

Zlitował się jednak nad politurowanym blatem i pustą puszkę odstawił na tackę. Kulkowe pióro zwrócił właścicielowi. Po tych pojednawczych gestach rozsiadł się jeszcze wygodniej i głośno czknął.

To już było najwidoczniej za wiele dla osobistego sekretarza Winstona Fairchilda, gdyż zadał pytanie swemu szefowi:

- Jest pan pewien, że powinienem kontynuować pracę nad tym harmonogramem?

Derek McKenna czknął ponownie. Z buta wspartego o historyczny stół spadła na blat grudka ziemi zmieszanej ze smołą ulicznego asfaltu.

- Czy nie sądzi pan, że byłoby wielkim błędem wystawienie mnie na publiczny pokaz? - spytał i dla lepszego efektu czknął po raz trzeci.

Fairchild patrzył na Dereka szeroko otwartymi oczami, a generał pochylił się do przodu, jakby chciał bliżej obejrzeć jakiś muzealny okaz.

Kongresman z Arizony prychnął i spytał:

- Czy nie należałoby trochę oszlifować pana porucznika? Bo mógłby nam narobić kłopotu.

- Mógłbym, mógłbym! - zgodził się ochoczo Derek.

- Raz tak zrobi w jakimś wywiadzie telewizyjnym na żywo i będziemy mieli pasztet - mruknął podsekretarz stanu.

Sytuacja zaczęła bardzo bawić Dereka, choć czuł się urażony, że obecni mówią o nim w trzeciej osobie, jakby go tu nie było. Generał wpatrywał się w Dereka z wyraźnym niesmakiem. Ten nędzny porucznik kompromitował armię i jego samego, szefa sztabów połączonych. A hasło, że amerykański oficer jest w każdym calu dżentelmenem? Oburzające!

- Panie generale, chyba mam rozwiązanie! - wykrzyknął nagle Fairchild.
- Jakież to?

Nie odpowiadając bezpośrednio generałowi, Winston Fairchild zwrócił się do swego osobistego sekretarza:

- Zadzwoń do protokołu dyplomatycznego, chcę porozmawiać z Chessey Banks Bailey. Panowie, potrzebna jest nam Mary Poppins!¹

- Julie Andrews grała Mary Poppins - odezwał się Derek McKenna. - Bardzo mi się w tej roli podobała.

Na innym piętrze tego samego ponurego gmazyska departamentu stanu Chessey siedziała za metalowym biurkiem, których dziesiątki tysięcy wypełniają pomieszczenia administracji wszystkich szczebli - ba! setki tysięcy - i układała rządkiem koperty, z których każda zawierała jakiś problem domagający się rozwiązania.

Chessey była latoroślą rodziny Banks Bailey ów, których przodkowie przybyli do Nowej Anglii na statku „Mayflower”, co stanowi tytuł do dumy i pozwala zaliczyć się do amerykańskiej arystokracji. Pierwsi Baileyowie zbili fortunę na diamentach, a może na futrach czy hodowli - nikt już nie pamiętał na

¹ *Mary Poppins - postać z powieści dla dzieci P. L. Traversa o tym samym tytule, a także nakręconego na jej podstawie filmu. Niania obdarzona wyjątkowymi przymiotami i zdolnościami, m.in. umiejętnością latania. W kulturze amerykańskiej funkcjonuje jako symbol supermiani (przyp. red.).

czym, ale przecież ważne było tylko to, że zbili fortunę - a następne pokolenia co najmniej ją potrajały. Kobiety z rodu Banks Baileyów były regularnie prezentowane na łamach ekskluzywnych miesięczników, mężczyźni zaś cytowani w pismach publikujących listy najbogatszych ludzi. Zdjęcia domów Baileyów oglądać można było w miesięczniku „Piękny Dom”, a fotografie ich psów w „Psich Arystokratach”.

Dziennikarze specjalizujący się w plotkach z wyższych sfer byliby niezmiernie zdziwieni, gdyby im powiedziano, że nawet ułamek fortuny Baileyów nie wylądował w portfelu Chessey. Ułożone rzędkiem na biurku białe koperty adresowane do Chessey zawierały zaproszenia na rodzinne chrzty i śluby w miesiącu czerwcu. I na każdą z tych uroczystości trzeba było mieć odpowiedni strój - zawsze inny, bo goście byli ci sami - i odpowiedni prezent. Ze strojami nie było większego kłopotu, gdyż liczne kuzynki chętnie oddawały jej zeszłoroczne sukienki, natomiast sprawa prezentów wyglądała poważniej. Śluby były wystawne, a więc i prezenty powinny być odpowiednie. Zwłaszcza że, wiedzione przedziwnym instynktem, wszystkie biorące ślub kuzynki znalazły sobie mężów milionerów.

W takiej sytuacji ofiarowanie tosterka nie wchodziło w rachubę, chyba że byłby ze szczerego złota i wysadzany brylantami. No, a pojawienie się na chrzcinach bez starego srebra, byłoby nie do pomyślenia.

Pozostawało do wyboru albo zaprzestanie jedzenia i zaciągnięcie pożyczki, albo też pojawianie się w charakterze ubogiej krewnej. To ostatnie bardzo jej nie odpowiadało. Zaproszeń było dziesięć, a więc dziesięć wystawnych przyjęć. Powinny uratować ją od śmierci głodowej...

Zadzwonił telefon. Odebrała po pierwszym dzwonku.

Ostry głos niemal krzyczał, żeby natychmiast pojawiła się na ósmym piętrze w gabinecie Winstona Fairchilda. Nim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, słuchawka została rzucona na widełki. Rozpoznała głos niezbyt miłego sekretarza Fairchilda.

- Pana też serdecznie pozdrawiam - powiedziała do głuchej słuchawki. Odłożyła ją, wstała, wyszczerzyła zęby do lusterka, żeby sprawdzić, czy szminka nie osiadła na zębach. Wzięła torebkę, teczkę i ruszyła ku windzie. W drodze pozwoliła sobie na pofantazjowanie. On i ona, przy kominku, on czyta „Sunday Times”, ona słucha klasycznej muzyki. Nastrój jest błogi... Dlaczego by nie?

Winston Fairchild Trzeci był mężczyzną, o jakim marzą kobiety. Inteligentny, wyrafinowany, kulturalny, absolwent Harvardu, pochodził z bardzo godnej rodziny. Jej rodzina chętnie widziałyby go przy stole podczas niedzielnych obiadów i weekendów. U jego boku Chessey byłaby najprawdopodobniej traktowana jako normalna córka Baileyów. Jej babka pytała nawet kiedyś, dlaczego Chessey nie zaprosi Winstona Fairchilda do rodzinnej warowni.

Chessey nie należała jednak do tych popularnych, na każdym kroku dostrzeganych kobiet z rodu Baileyów. Nic więc dziwnego, że Fairchild jej nie dostrzegał. W czasie nielicznych kontaktów w pracy, wzorem wielu innych wyższych urzędników, patrzył gdzieś w przestrzeń ponad jej głową, a nie prosto w oczy. W jego gabinecie była tylko raz, po przyjęciu-do pracy, by usłyszeć zwyczajową formułkę, że „cieszymy się i witamy w rodzinie”, oraz polecenie, by przy okazji zostawiła na biurku sekretarza formularz

wyliczający kwalifikacje, a tym samym określający przydatność osoby w rzeczonyj „rodzinie”.

Przed dębowymi drzwiami do gabinetu na ósmym piętrze zatrzymała się, przyglądziła wymagany kosmyk włosów, zapukała i weszła.

Zaskoczyła ją liczba i niecodzienny skład obecnych, natychmiast bowiem rozpoznała szefa sztabów połączonych, podsekretarza obrony i kongresmana z Nowego Jorku. Wśród wielu innych obecnych tu twarzy uwagę jej przykuła twarz młodego mężczyzny, który siedział na obitej drewnem kanapie, z nogami na stoliku do kawy. Mężczyzna zgrabnie chwycił ustami podrzucane przez siebie do góry orzeszki ziemne i uśmiechał się przekornym chłopięcym uśmiechem. Był diabelnie przystojny. Lubujące się w prymitywnych osobnikach kobiety z pewnością za nim szalały. Twarz miał jakby wyciosaną z granitu, wydatne szczęki i oczywiście niebieskie oczy...

Chessey za takimi mężczyznami wcale nie przepadała.

Fairchild przedstawił jej obecnych, z którymi kolejno się przywitała.

- Nie miałam jeszcze przyjemności pana poznać - powiedziała, wyciągając rękę do Dereka. - Jestem Chessey Banks Bailey.

Nieznajomy przerwał konsumpcję orzeszków ziemnych, ale zamiast przyjąć oferowaną mu dłoń, zaczął bacznie lustrować kobietę, po czym oblizwał się, zawył jak wilk i głośno obwieścił:

- Wiedziałem! Wiedziałem! Wiedziałem przez całe dwa lata, że właśnie czegoś takiego mi brakuje! - Do słów dołączył obleśny uśmiech.

Chessey zeszywniała i poczerwieniała.

- To jest porucznik Derek McKenna, panno Bailey - poinformował ją Fairchild.

- Jeden jedyny, unikatowy porucznik McKenna, kochanie - uzupełnił Derek, bawiąc się doskonale w granej przez siebie roli.

Zdjął nogi ze stolika, wstał, podszedł dwa kroki i wziął Chessey w ramiona.

- To ona jest dla mnie? - spytał skamieniałą ze zgrozy widownię i zanim otrzymał odpowiedź, a Chessey zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, przywali ustami do jej warg.

Kiedy po wielu, wielu sekundach nagle ją uwolnił i odsunął od siebie na odległość ramion, Chessey czuła się jak wyprana, a w głowie miała zamęt. Ugięły się też pod nią kolana i musiała szukać ratunku w oparciu najbliższego fotela.

Chwytała powietrze jak ryba wyciągnięta z wody i nie była zdolna do wypowiedzenia ani jednego słowa, a tym bardziej do wymaganego od kobiety w takich okolicznościach czynu, czyli dania mężczyźnie po buzi.

Miała nadzieję, że Winston odpowiednio zareaguje i skarci bezczelnego porucznika. On jednak siedział, w milczeniu obserwując całą scenę z wielkim zainteresowaniem, podobnie jak i pozostali panowie.

Milczenie przerwał sam porucznik McKenna, obwieszczając głośno:

- Jestem nieokrzesany i nie do okrzesań. Nie nadaję się do pokazania wielkiej amerykańskiej widowni. Sprawię więcej kłopotów, niż warte jest ryzyko wykorzystania mnie...

- Poruczniku! - zagrzemiał groźnie generał.

Chessey położyła dłoń na piersi, by uspokoić rozszalałe serce. Po pierwszym szoku przyszło oburzenie, tym większe, że zabarwione czymś, co można było określić jako podniecenie. A jednocześnie miała wrażenie, że McKenna nie dostrzega jej jako osoby, a tylko wykorzystuje dla siebie znanych celów.

- Pan potrzebuje kogoś innego, panie generale, nie mnie - ciągnął dalej Derek. - Kiedy na jakiejś estradzie pocałuję w ten sposób jakąś matronę z ligi przysięgłych dziewic, spali się pan ze wstydu.

- Poruczniku, dość tych bzdur! - jeszcze groźniej powiedział generał.

Nie zrażony generalskim gniewem McKenna mówił dalej:

- Bardzo pana proszę, niech mnie pan odeśle do domu! - W głosie porucznika pojawiła się błagalna nuta i obecni w gabinecie panowie zaczęli pilnie przyglądać się swym wymanikiurowanym paznokciom lub czubkom butów, jakby wstydzić się uczestnictwa w tym spektaklu.

A w spokojniej już bijącym sercu Chessey zaczęło rozkwitać uczucie litości do tego pięknego mężczyzny, na którego twarzy widać było ślady przebytego cierpienia. Zachowanie McKenny oceniała teraz zupełnie inaczej niż przed chwilą: ten człowiek przechodzi poważny kryzys. Występuje u niego wyraźnie zachwianie równowagi psychicznej po kilku latach niewoli, jak i wielka tęsknota za rodzinnym domem.

Postanowiła jednak stłumić owo uczucie litości. Przecież ten szaleniec pocałował ją w obecności tych wszystkich mężczyzn. I w obecności Winstona...!

- Panno Banks Bailey, ja bardzo przepraszam za nieodpowiednie postępowanie porucznika, który zachowuje się jak nieokrzesany dzikus... - stwierdził generał.

- I właśnie dlatego potrzebna jest nam Chessey! - wykrzyknął Winston Fairchild.

Chessey usiadła na dębowym krześle i ze zdumieniem spojrzała na Winstona. Ona jest im potrzebna? Do czego?

Fairchild podał jej przez biurko cienką teczkę, a jednocześnie jego sekretarz wyciągnął do niej rękę z gęsto zapisanymi kartkami wyrwanymi z kalendarza. .

- Poruczniku, wykona pan to zadanie z jednego powodu. Z jednego tylko powodu - powtórzył generał już łagodniejszym głosem.

- A jakież to miałyby być ów jedyny powód?

- Dobro naszych żołnierzy. Tych, co służą teraz w wojsku, i tych, którzy w najbliższym czasie rozpoczną służbę. Żołnierze muszą zobaczyć, że do akcji poprowadzą ich oficerowie tacy jak pan, dbający o swoich ludzi i gwarantujący im przeżycie w najcięższych warunkach.

- Oni już to wiedzą - odparł McKenna i wstał. - Ja już sobie chyba pójdę.

- Łącz mnie z prezydentem! - polecił generał adiutantowi.

Derek szpetnie zaklął i usiadł.

- Dajcie mu program - powiedział generał.

Fairchild wręczył Derekowi taką samą papierową teczkę, jaką przed chwilą dostała Chessey.

- Startuje pan za trzy dni - poinformował. - Chessey będzie panu wszędzie towarzyszyła. Już się znacie, ale kiedy następnym razem będzie

pan chciał poznać kobietę, to niech pan spróbuje innej metody... na przykład zacznij od podania ręki.

Chessey rzuciła Derekowi złe spojrzenie na wspomnienie „metody” poznania zastosowanej wobec niej.

- A po co mi ona? - spytał McKenna, wskazując Chessey palcem.

- Panna Banks Bailey pracuje w protokole, jest nauczycielką dobrych manier. Musi ich pana nauczyć. Jest naszą najlepszą specjalistką. Tak jak Mary Poppins, tyle że nie ma parasolki i tego śmiesznego kapelusza. W ubiegłym miesiącu nauczyła manier delegację udającą się do Zanzibaru. Manier obowiązujących przy zanzibarskich stolach.

Chessey zaczerwieniła się, słysząc pochwały pod swoim adresem, choć niezbyt jej odpowiadało porównanie z Mary Poppins.

Winston kontynuował prezentację:

- Panna Banks Bailey należy do znanej chyba panu rodziny. - Zarechotał.

- Nie trzeba lepszej rekomendacji dla nauczycielki dobrych manier. Rodzina Baileyów zna właściwe maniery na każdą okazję...

- Ona jest mi niepotrzebna - stwierdził stanowczo McKenna. - Co ona mi pomoże na farmie? Będzie doiła krowy i wyprowadzała traktor w pole? Na pewno nie potrafi. A konie mają własne dobre maniery. Jeśli już będę musiał odbyć ten cyrkowy objazd Ameryki, to wolałbym kobietę, która zechce się zabawić ze mną w wolnych chwilach. Bo ta harcerekzka chyba się do tego nie nadaje.

- W istocie nie jestem dobrą kandydatką na czyjąś zabawkę, mówiąc bardzo delikatnie - odparta Chessey. Twarz miała szkarłatną z gniewu.

- Zabawkę porucznik znajdzie sobie po drodze. Natomiast potrzebny mu jest ktoś, kto go ponownie ucywilizuje, bo w bagdadzkim więzieniu dostał małego rozumu i powrócił do stanu naturalnego... dzikusa z buszu! - z wściekłością powiedział generał.

- A może nasz pan porucznik był zawsze w tym naturalnym stanie? - mruknął Winston. Pewnie miał to być dowcip. - I w tym wypadku, Chessey, czeka cię poważna robota.

- Ja tej kobiety nie chcę - upierał się McKenna. Nawet gdybym akceptował wasz program, to jej nie chcę.

- Poruczniku... - zaczął powoli generał. - Choć jestem pewien, że nie ma pan zamiaru zabawiać amerykańskich obywateli i popisami otwierania piórem puszek z colą ani wrzucania sobie z dużej odległości orzeszków ziemnych do ust i obcałowywania wszystkich napotkanych kobiet, to jednak znajdzie się pan na nie znanym sobie terenie i będzie doświadczał nowych sytuacji w różnych środowiskach.

- Przepraszam, generale - odezwała się Chessey. - Czy pan sugeruje, żebym ja udała się z nim w objazd?

- Oczywiście, Chessey! - wtrącił Winston. - I pomyśl, że jesteś treserką cyrkowego zwierzęcia.

- I jeśli ujarzmi pani naszego bohatera, to jestem pewien, że będzie pani mogła żądać jakiej pani tylko zechce pracy w departamencie stanu - dodał ze śmiechem generał.

Chessey zerknęła na McKennę. Może się udać, pomyślała. Przy odrobinie cierpliwości największego tępaka można nauczyć dobrych manier. A temu porucznikowi bardzo ich potrzeba.

- I po zakończeniu misji będę mogła wybrać sobie pracę, jaką chcę? - spytała Winstona.

Winston podrapał się w głowę i wymamrotał coś na temat regulacji prawnych służby cywilnej.

- Stan Arizona bardzo chętnie będzie panią widział w biurze kongresowym - zaproponował kongresman z Arizony. - Nowy Jork zaoferuje pani pewno to samo.

Kongresman z Nowego Jorku energicznie pokiwał głową.

- Jeśli pani się uda, to ja dam pani stanowisko w moim biurze - oświadczył generał.

- Liczę na panią, Chessey! - odezwał się głośno Winston.

- Pan liczy?

Winston zdjął okulary. Kiedy wtopił w Chessey swoje brązowe oczy, miała wrażenie, że nagle dostrzega ją po raz pierwszy. Dostrzegają, jako kobietę.

- Chessey, kraj cię potrzebuje... to znaczy ja cię bardzo potrzebuję i liczę...

Chessey skromnie spuściła oczy, ale natychmiast je podniosła i wtopiła spojrzenie w Fairchilda.

Babka mówiła jej, że Fairchild to bardzo miły człowiek. I dodawała, że chociaż Fairchildowie nie mają pieniędzy, to ich brak całkowicie zastępuje charakter.

- No, dobrze. Zgadzam się... - odparła bez entuzjazmu w głosie i przeniosła wzrok na nowego podopiecznego.

Patrzyła na niego surowo, chcąc już od pierwszej chwili określić ich wzajemny stosunek. Człowiek wydaje się inteligentny i powinien szybko wchłaniać dostarczaną mu wiedzę. Wstała i biorąc się pod boki, powiedziała:

- Poruczniku McKenna, oto lekcja pierwsza: nigdy więcej nie wolno panu mnie całować.

Po tych słowach wstała i wyszła z gabinetu, ale będąc przy drzwiach, zdążyła jeszcze usłyszeć odpowiedź:

Dobrze, może być. Poczekam, aż mnie o to poprosisz, ślicznotko.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

- Zaczniemy od munduru - powiedziała Chessey, prowadząc Dereka korytarzem wyłożonym linoleum, na którym, tak jak powinny, stukały jej rozsądnej wysokości obcasy. - Znam dobrego krawca wojskowego. W ciągu jednego dnia dobierze panu i dopasuje galowy mundur. Po przymiarce skomponujemy pięciominutowe wystąpienie do wykorzystania przez pana podczas trzech pierwszych wystąpień publicznych...

- Wystąpienie na wystąpieniu? To brzmi jakoś nieładnie. Może jedno wystąpienie zastąpić innym słowem?

Spojrzała na Dereka ze złością, ale zachowała spokój.

- To pięciominutowe wystąpienie będzie pańskim kołem ratunkowym, przyjacielem, wyznaniem wiary, deklaracją lojalności. Będzie łatwe do przyswojenia sobie i nie będzie pan potrzebował zerkać w notatki ani na kartony z tekstem podsuwane zza kamery gwiazdom telewizyjnym. Nie wolno panu zerkać na boki. Musi pan utrzymywać wizualny kontakt z widownią. ..

Chessey była podniecona i właściwie zadowolona z otrzymanego zadania. Miała szansę na poważny awans. Szef sztabów połączonych osobiście gwarantował jej karierę. Kto wie, czy nie będzie miała własnego gabinetu powyżej poziomu ulicy i to z oknem na świat. Taka okazja jak ta zdarza się tylko raz w życiu. Byle ten dzikus wszystkiego jej nie popsuł swoim zachowaniem.

Naprawdę dzikus? W gabinecie Fairchilda zgrywał się, bo chciał się wykroczyć od patriotycznego obowiązku. Ale oprócz tego i oprócz objawów utraty równowagi psychicznej, ma duże braki. Derek McKenna nigdy nie miał manier Fairchildów i Baileyów.

Nadal dręczył ją ten pocałunek na oczach wszystkich. Część błazenady, oczywiście, ale... Trzeba przestać o tym myśleć i tyle. I nie wolno, by jakiegokolwiek osobiste odczucia zmały porządek następnych trzydziestu dni. Musi wpoić McKennie podstawowe zasady dżentelmeńskiego zachowania, bo w przeciwnym wypadku nie tylko on się skompromituje, ale przepadną jej szanse na karierę w departamencie stanu, bo Fairchild obwieści ją nieudacznicą.

Idąc, otworzyła folder i zaczęła przeglądać notatki.

- Jak już przygotujemy to pierwsze pięciominutowe wystąpienie, to sobie usiądziemy przy nakrytym stole i omówimy wszystko, co trzeba wiedzieć o kolacjach na siedząco. Choćby był pan przyzwyczajony do posługiwania się pięcioma różnymi nożami i widelcami, to przyda się przypomnienie... Straszne musiał pan mieć warunki w bagdadzkim więzieniu. A przy okazji: oglądałam w CNN, jak pana przywieźli do szpitala w Wiesbaden. Byłam bardzo z pana dumna. I łzy mi napłynęły do oczu. Dowiedział pan całemu światu, że Amerykanie potrafią pokonać każdą przeszkodę... - Spojrzała w prawo, gdzie powinien iść McKenna. Powinien, ale go nie było. Zniknął. Rozpłynął się.

Pusty korytarz do końca. I jego odnogi. Jeśli McKenna gdzieś niepotrzebnie skrzył, to się zgubi, a znalezienie go zajmie jej kilka godzin.

„Mistrz ucieczek"! Tak nazwała go prasa informująca, że po miesiącach planowania i wielu nieudanych próbach McKenna wyprowadził z więzienia wszystkich swoich trzydziestu dwu ludzi tak, że nikt nic nie zauważył przez dwadzieścia cztery godziny. Jednakże kilkanaście kilometrów korytarzy departamentu stanu były poletkiem Chessey i to stanowiło jej przewagę nad każdym gościem w tym budynku. Wsłuchała się w ciszę i usłyszała odległe echo kowbojskich butów. Rzuciła się pędem w boczny korytarz, po którym kołatało się echo kroków, i zaczęła głośno krzyknąć:

- Niech pan tu natychmiast wróci, poruczniku McKenna! - Zignorowała zgorzzone spojrzenie jakiejś sekretarki, która wyszła z czyjegoś gabinetu i właśnie ją mijała.

Chessey zdawała sobie sprawę, że Baileyowie w zasadzie nie biegają po korytarzach, a zwłaszcza nikogo głośno nie wołają, bo nikt nie jest im taki znowu potrzebny, ale w tym wypadku McKenna był jej bardzo potrzebny. Od niego zależała cała jej kariera. I nie tylko kariera. Jeśli McKenna szybko się nie znajdzie, to Winston Fairchild Trzeci nigdy już na nią nie spojrzy i nie zaszczyci wizytą w rodzinnej warowni Banks Baileyów. I Chessey pozostanie chyba do śmierci czarną owcą rodziny, pozbawioną szacunku kuzynek.

- Poruczniku McKenna! - krzyknęła błagalnie. - Niech pan wróci! Bardzo proszę! Bardzo proszę...!

Derek McKenna postanowił uciec. Dziecinada, ale to prawda.

Dopadła szerokich schodów i zbiegła nimi do olbrzymiego holu, rozdając na lewo i prawo „przepraszam". Hol, zwany dyplomatycznym, pełen był dzieci, które pod opieką nauczycielek przyszły obejrzyć ten sławny

przybytek władzy. Nie zatrzymując się, wybiegła na Dwudziestą Trzecią Ulicę. Szczęście jej sprzyjało: McKenna stał na skraju chodnika, rozglądając się raczej bezradnie, jakby nie wiedział, jaki obrać kierunek ucieczki. Nim jednak udało się jej zejść ze schodów, musiała przepuścić japońską wycieczkę i przedrzeć się przez kolejną grupę ludzi. McKenna podjął w tym czasie decyzję i rezerolucie ruszył w lewo. Był wysoki i wystawał co najmniej o pół głowy ponad pozostałych przechodniów. Chessey mogła więc bez kłopotu iść jego śladem. Szedł, nie zwracając uwagi na ruch uliczny, stanowczym krokiem. Jego muskularna sylwetka jak magnes przyciągała spojrzenia mijanych kobiet, które nawet się zatrzymywały i oglądały za nim. Chessey nie potrafiła tego zrozumieć. Przechodzący mężczyzna może się podobać, ale żeby zaraz się za nim oglądać! Stać i gapić się na mężczyznę to brak wychowania i jakichkolwiek hamulców.

Na szczęście McKenna nie przypominał bohatera o zmierzwionej czuprynie i długiej brodzie, którego pokazywano w telewizji po jego spektakularnej ucieczce. Był ostrzyżony i ogolony przez wojskowego fryzjera. Idąc za nim, Chessey nie mogła me podziwiać wspaniałej muskularnej sylwetki. I to po paru latach, spędzonych w irackim więzieniu! Zdumiewające! Pisano, że McKenna przede wszystkim zadbał o to, by jego ludzie i on sam zachowywali zawsze jak najlepszą formę. Ale jak to można zrobić na więziennym wikcie? Musieli dokonywać cudów, by zdobyć pożywienie.

Chessey była już blisko Dereka. Dopadła go kilkoma susami w obawie, że McKenna obejrzy się i umknie.

- Poruczniku McKenna! Proszę zaprzestać tych głupot. Proszę się zatrzymać! - wykrzyknęła głosem, który choć jej mógł wydawać się groźny, wzbudził tylko uśmieszek na twarzach jakiejś przechodzącej pary. - Poruczniku McKenna, czeka nas poważna robota. Niech pan przestanie zachowywać się jak... .. jak... - Zabrakło jej właściwego słowa, głos się załamał. Czuła się wystawiona na pośmiewisko.

Derek musiał wyczuć rozpacz w jej głosie, gdyż zatrzymał się, wziął pod boki i długo wpatrywał się w Chessey, wywołując na jej twarzy rumieniec i przyciągając ciekawe spojrzenia przechodniów.

Gdy zaczął mówić, wzrok mu stwardniał.

- Nigdzie z panią nie pójde. A jeśli pani tak lubi tresurę, to niech pani poszuka innej ofiary. Może psa?

- Pan Fairchild zadzwoni do prezydenta - zagroziła.

- Wszystko wiem, wszystko słyszałem. I tak sobie pomyślałem, że jakby nawet zadzwonił, to prezydent mnie nie zatrzyma w wojsku. Przecież już pewno wie od tego swojego fagasa, którego przysłał na konferencję, że jestem nieokrzesanym kmiotkiem i lepiej nie wystawiać mnie na widok publiczny. Mogę więc sobie bimbać na wszystkich tych panów, których widzieliśmy w gabinecie. Wracam na farmę.

Podeszli kilka kroków do skrzyżowania, Derek odczekał, aż zapali się zielone światło, i dopiero wtedy wszedł na jezdnię. Chessey rezolutnie zrobiła to samo, przez cały czas szukając takiego argumentu, jaki przekonałby krnąbrnego oficera, że należy jednak podporządkować się woli autorytetów, którym zaprezentował swój błazeński spektakl.

Gdy znaleźli się na przeciwległym chodniku, Derek spojrzął na Chessey tak zbolalym wzrokiem, że na chwilę zrobiło się jej go żal. Pomyślała, że on naprawdę cierpi i czuje się zaszczuty.

- Co to właściwie panią obchodzi, że pojedę sobie do domu? Zależy pani na mnie?

- Na panu nie. Na pańskich ludziach.

- Na moich ludziach? - Zmarszczył czoło. Niedawno generał wysunął ten sam argument.

- Na pańskich i w ogóle zależy mi na żołnierzach. Jeśli przestaną wierzyć w swoich przełożonych, to powstanie poważny problem. Pan jest dowodem, że na oficerach polowych można polegać. Żadne piękne mówki nie zastąpią przykładu. I dowodu. Pan mógłby być takim przykładem i dowodem dla całego pokolenia poborowych.

- Mówi pani bzdury. Jakiś zakichany porucznik nie poprawi wizerunku armii. Jeśli generałowie nie mają innych sposobów, aby przekonać żołnierzy, że można im ufać, to żal mi jest armii.

- Nie może pan uciec od odpowiedzialności.

Chessey nie zdawała sobie sprawy, że mówiąc to, położyła dłoń na jego piersi. Nie umknęło to jednak uwagi Dereka, który krzywo się uśmiechnął i dziwnie ciepłym głosem powiedział:

- Nie zdawałem sobie sprawy, kochanie, że moim pocałunkiem tak się zobowiązałem i że teraz jestem odpowiedzialny za twoje szczęście.

Odskoczyła jak oparzona i upuściła plik papierów z harmonogramem zajęć.

Derek grzecznie się pochylił i podniósł z ziemi dokumenty.

- Przecież ja tylko chcę wykonać mój obowiązek - odparła zmieszana, jakby się tłumaczyła.

- A ja chcę wykonać swój i dlatego śpieszno mi na farmę - odparł bardzo poważnie.

Ruszył przed siebie. Chessey dreptała u jego boku.

- Jest pan bohaterem. Osobą publiczną - tłumaczyła. - Tak jak wielki aktor. Aktor nie może powiedzieć, że nie chce grać dla publiczności.

Zatrzymał się, chwycił Chessey za ramiona i trzymając ją na odległość wyciągniętych rąk, powiedział ze złością:

- Otóż to! Nie chcę być aktorem, żadnym popisującym się pajacem. I nie chcę być bohaterem. Było, wydarzyło się, skończyło się.

Oderwał jedną rękę i zaczął nią machać w stronę jezdni. Po chwili z piskiem hamulców zatrzymała się tuż obok taksówka.

- Dokąd pan chce jechać?

- Na lotnisko. Do Kentucky pieszo szedłbym zbyt długo.

- Pojadę z panem - oświadczyła.

- Chyba nie - odparł. - Tata już dawno mi zapowiedział, że na farmę wolno mi przywozić tylko kandydatki do małżeństwa. Żeby je mógł obejrzeć i aprobować. Albo odrzucić.

Otworzył drzwiczki taksówki i szybko do niej wsiadł. Chessey, działając przez zaskoczenie, weszła tuż za nim i niemal usiadła mu na kolanach, ale Derek w ostatniej chwili zdołał odsunąć się w przeciwny kąt. Spojrzał dziwnie na dziewczynę, westchnął i rzucił kierowcy:

- Lotnisko Dullesa. - Po chwili dodał pod nosem: - Boże, co powie tata? Okropnie się boję.

Drogę do lotniska przebyli w milczeniu.

Czarnowłosa hostessa za ladą kontuaru podała McKennie okładkę z biletem i dodała regulaminowy uśmiech.

- W jedną stronę do Louisville, Kentucky, stamtąd lokalną linią do Elizabethtown. Miłego lotu, sir - wyrecytowała.

- Dziękuję pani - odparł McKenna. - I pani też dziękuję za odprowadzenie mnie - zwrócił się do stojącej obok Chessey, która miała łzy w oczach. Czuła się zupełnie zagubiona. Wiedziała, że przegrywa.

Ale teraz, gdy Derek spojrział na nią i wtopił wzrok w jej oczy, poczuła, że się czerwieni, a wraz z tym przyszła nagła decyzja. Lekko odepchnęła go od kontuaru i położyła swą teczkę na ladzie, by móc sięgnąć do torebki i wyjąć kartę kredytową.

- Proszę o to samo - powiedziała do zaskoczonej hostessy.

- Oo, państwo są razem? Nie wiedziałam...

- Ależ skąd! - odparł Derek. - Tyle że przyjechaliśmy jedną taksówką, bo biedaczka nie miała pieniędzy.

- Ha, ha, ha! Prawda, jaki dowcipny? - Chessey postanowiła rozegrać sytuację na wesoło. - Jesteśmy razem. On tak zawsze żartuje.

- Prawie nie znam tej pani - upierał się Derek.

- Jesteśmy razem, a poza tym żyjemy w wolnym kraju! - wykrzyknęła Chessey.

- Otóż to, otóż to! Przez kilka godzin usiłowałem wbić to do głowy tępym generałom i urzędasom - powiedział Derek, zwracając się do hostessy stojącej z otwartymi ustami. - I co? Nie udało mi się ich przekonać. A jeśli o panią idzie... - zwrócił się do Chessey - ...to nie wiem, po co chce pani lecieć

do Elizabethtown. Bo ja jadę do domu. I nie mam zamiaru pani ze sobą zabierać. W wolnym kraju wolno mi lecieć, dokąd chcę, i robić, co chcę.

- Mnie też wolno. Proszę o identyczny bilet!

- Niech pani jej nie sprzedaje tego biletu. Nie chcę, żeby ona ze mną jechała.

Hostessa zawahała się z palcami na klawiaturze komputera.

- Właściwie to nie ma pan prawa zabraniać tej pani lecieć, gdzie chce - odparła niepewnie.

- Bardzo panią proszę! Niech pani nie sprzedaje jej tego biletu. Ona nie wie, co robi!

- Ja chcę z nim lecieć! - powiedziała stanowczo Chessey. - Proszę natychmiast wydać mi bilet! Oto moja karta kredytowa.

- Nie, nie, nie! - wykrzyknął Derek. - Ja jej nie chcę więcej widzieć na oczy!

- Źle pan postępuje, młody człowieku - odezwał się mężczyzna, który przed chwilą stanął w kolejce i był świadkiem ożywionej rozmowy przy kontuarze. - Jeśli młoda dama tak bardzo pana kocha, że jest gotowa ryzykować podróż z takim brutalem, jak pan, to trzeba jej dać drugą szansę. Zbyt wielu młodych pobiera się lekkomyślnie, a potem próbuje bezkarnie wysliznąć się z małżeńskich więzów. Ja i moja żona...

Derek nie miał zamiaru słuchać historii pożycia małżeńskiego starszego pana i przerwał mu brutalnie:

- Po co się pan wtrąca? To nie pańska sprawa, a ta pani nie jest moją żoną. Ledwo ją znam. To urzędniczka z departamentu stanu, która chce dostać awans i przykleiła się do mnie, żeby rzekomo się mną opiekować. Ja

nie potrzebuję opieki, tylko spokoju. A ta łązi za mną. Wepchnęła się do mojej taksówki, a teraz robi zamach na moją wolność. Ja jej nie chcę.

Kilka razy dziabnął powietrze palcem, aby wyraźniej wskazać, kogo nie chce. I wcale nie zbił go z tropu słodki uśmiech Chessey.

- Drogi poruczniku McKenna, jakże ja pana dobrze rozumiem! Poznajecie państwo porucznika McKennę? Prawda? - zwróciła się do hostessy, starszego pana, kilku nowych potencjalnych nabywców biletów oraz paru ciekawskich, których zwabiło niecodzienne wydarzenie przy kasie biletowej. - Porucznik McKenna jest bohaterem narodowym...

- Poznajemy, poznajemy - odezwało się kilka osób i zaczęło klaskać.

- Porucznik McKenna przeżywa ogromny stres. Ja go rozumiem. Niełatwo być bohaterem. - Chessey westchnęła. - Lekarze mówili, że trzeba roztoczyć nad nim opiekę. Porucznik McKenna leci odpocząć w rodzinnych stronach. I musi wiedzieć, że cała Ameryka go kocha. Wszyscy cię kochamy, drogi poruczniku! - Chessey też zaczęła bić brawo.

Starszy mężczyzna, któremu Derek przerwał opowieść rodzinną, teraz bez opamiętania potrząsał ręką Dereka, odpychany przez dwie kobiety z notesikami, chcące zdobyć autograf McKenny.

- Jest pan cudowny! - powtarzała jedna.

- Jest pan wspaniały! - potwierdzała druga.

- To wielki zaszczyt poznać pana! - oświadczył starszy pan, potrząsając ręką Dereka, który cichutko, ledwo słyszalnie pojękiwał.

Tłum wokół niego gęstniał, po terminalu bowiem lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że jest tu jakiś sławny człowiek. Nie wszyscy wiedzieli, na czym owa sława polega i kto to jest, ale na wszelki wypadek śpieszyli,

żeby móc potem opowiadać i pokazywać zdobyty przy okazji autograf. W Ameryce wszyscy pasjonują się autografami sławnych ludzi.

Zrozpaczony i obłączony Derek poszukiwał wzrokiem Chessey, by niedwuznacznie dać jej do zrozumienia, że to wszystko jest jej winą i że jest na nią oburzony. Chessey jednak odwróciła się tyłem do podopiecznego i aby nie było dalszych nieporozumień, najspokojniej przypinała sobie do sukienki plakietkę departamentu stanu wymieniającą nie tylko jej nazwisko, ale również funkcję w protokole.

- Departament stanu, podróż służbowa - zwróciła się oficjalnym tonem do hostessy, która już od dłuższej chwili stała jakby zamieniona w słup soli i tylko dobre wychowanie nie pozwoliło jej mieć szeroko otwartych ust, co skompensowała szeroko otwartymi oczami. - Mam mieć miejsce koło niego... - Ruchem głowy wskazała Dereka.

- W jedną stronę czy powrotny? - spytała hostessa.

- Powrotny. Powrót powiedzmy za trzy dni z Elizabethtown do Nowego Jorku.

Hostessa ledwo spojrzała na pokazywaną jej przez Chessey kartę tożsamości. Może to i dobrze dla Chessey, owa karta bowiem nie upoważniała do niczego więcej, jak do wstępu w progi budynku departamentu stanu i do ministerialnej stołówki na lunch.

Hostessa zabrała się energicznie do roboty.

- I to jest TEN Derek McKenna?

- Ten sam.

- Co za wspaniały mężczyzna! - Hostessa tęsknie westchnęła, wręczając Chessey bilety i kartę kredytową. - Z takim to można nawet iść do irackiego więzienia!

Chessey schowała dokumenty do torebki i obróciła się w kierunku tłumu oblegającego Dereka. Uznała, że najwyższy czas wydobyć go z opresji. Będąc już blisko ofiary, stwierdziła, że ofiara nie tylko doskonale daje sobie radę sama, ale i dobrze się bawi. McKenna kołysał właśnie w ramionach jakiegoś niemowlaka, podczas gdy dookoła pstrykały migawki aparatów fotograficznych. Jednocześnie wydawał się pilnie słuchać jakiegoś starszaka, który go przekonywał, że dawniej to było wojsko, ale teraz, szkoda mówić, chyba że są takie wyjątki jak porucznik McKenna. Derek oddał niemowlaka matce i po chwili z czarującym uśmiechem przyjmował buziaka od jakiejś podekscytowanej nastolatki i jej bardzo przystojnej matki, którą obdarzył przy okazji niemal obleśnym uśmiechem, bardzo podobnym do tego, jaki towarzyszył pocałunkowi Chessey w gabinecie Fairchilda.

Chessey postanowiła przerwać tę sielankę, ale nim zdołała otworzyć usta, Derek, wskazując na nią palcem, oświadczył:

- Przepraszam was, moi mili, ale ta pani z departamentu stanu ma program wszystkich moich godzin życia w najbliższym czasie i zostanie wyrzucona z pracy, jeśli nie dopilnuje jego wykonania.

- O tak, program mamy bardzo napięty, proszę państwa - potwierdziła Chessey. - Bardzo. W stosunkowo krótkim czasie musimy odwiedzić wiele miast, gdzie wszyscy chcą powitać porucznika McKennę. Chyba to państwo rozumiecie i pozwolicie...

- ..odejść mi ku mojemu oficjalnemu przeznaczeniu - dokończył Derek.

Wkrótce po salwie pożegnalnych oklasków Derek i Chessey pozostali sami, jeśli nie liczyć hostessy za kontuarem i kilku osób w kolejce po bilety.

- Dziękuję za interwencję... - zaczął Derek, ale urwał w połowie zdania. - Zaraz, zaraz! Przecież to pani mnie w to wpakowała. Nie mam za co dziękować.

- Zachował się pan wspaniale! - odparta niezrażona Chessey. - Jaki pan był dla wszystkich miły. Ma pan naturalny talent... Sama nie wiem... Co za stosunek do dzieci! I... i...!

- A pani by pewnie chciała, żebym stał się grzecznutkiem, potulnym chłopaczkiem...

- Ależ skąd! Niech pan zostanie taki! Trzeba tylko oszlifować ostre kanty...

- Nie potrzeba mi żadnego szlifowania. Niech pani sobie szlifuje amatorów na dyplomatyczne posadki. Ja jadę do domu, a w moich stronach nie jest modne szlifowanie ostrych kantów. Do widzenia! - Odwrócił się i poszedł przed siebie. Po kilku krokach spojrzał przez ramię i zobaczył, że Chessey podąża za nim o dwa kroki z tyłu. - Dlaczego pani idzie za mną?

- Bo mam bilet na ten sam samolot, co pan. A potem na lokalny lot do Elizabethtown.

- U nas mówią E'town. I żadnego „lizabeth” nie ma. I niepotrzebnie pani się trudzi, bo w E'town na lądowisko przyjedzie mój ojciec furgonetką, w której nie ma miejsca na trzy osoby.

- Wezmę taksówkę.

- W E'town nie ma taksówek,

- Pójdę pieszo.

- Za daleko na delikatne pantofelki z wysokimi obcasami.
- Zaryzykuje...
- Chyba ma pani źle w głowie - stwierdził Derek i zdecydowanym krokiem odszedł, zostawiając Chessey pośrodku dworcowego holu.

- On się upiera, żeby pojechać do ojca na farmę - powiedziała Chessey do słuchawki telefonu, zerkając na pobliski bufet, gdzie w kolejce stał porucznik McKenna.

- Masz go nie odstępować nawet na krok - usłyszała odpowiedź Winstona Fairchilda. - Rób, co chcesz, ale za trzy dni masz go dostarczyć do Nowego Jorku na uroczysty lunch. A może chcesz zrezygnować? Jeśli tak, to powiedz teraz, od razu. Wycofam cię i wyślę kogoś innego, kto da sobie radę. Nawet... gdyby musiał użyć siły.

Chessey pomyślała o awansie, o nadziejach na ewentualne usidlenie Winstona i o tym, co jedno i drugie dla niej znaczy.

- Dostarczę go do Nowego Jorku - odparła stanowczo. - Dam sobie radę. A dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć, gdzie przez te trzy dni będziemy.

- Powrót bohatera na łono rodziny - mruknął do słuchawki Winston.
- Co takiego?

- Tak sobie myślę, że mogliśmy to włączyć do programu i dać cynk kilku stacjom telewizyjnym, żeby wysłały swoje ekipy do jego ojca na farmę. Ale teraz jest już za późno, nie zdążyliby na takie pustkowia. Dlaczego on nie może mieszkać w Palm Beach albo w Beverly Hills, jak wszyscy porządni ludzie?

Chessey pomyślała, że Derek z Beverly Hills nie byłby Derekiem-bohaterem, ale wolała głośno tego nie mówić. I ona też nie byłaby tą

Banks Bailey, jaką jest, gdyby wychowała się w którejś z rezydencji bogatych Banks Baileyów.

- A jak dostaniecie się na farmę z lotniska w tej dziurze?

- Tata po niego przyjeżdża.

- Tata? - Winston powiedział to tonem człowieka, który na kanapce z serem odkrywa żywą mysz. - Chociaż... kto wie, to ma nawet amerykański smaczek. Powiedziałaś, że przylatujecie na miejsce o czwartej?

- Tak.

- Hm... Mam nadzieję, że sobie poradzisz. Myślę, że wybrałem do tej roboty odpowiednią osobę. Niech pani mnie nie zawiedzie, Chessey! - To ostatnie zdanie było wypowiedziane bardzo uroczystym tonem. - Czekam na wiadomości... - Bez zbędnego, jego zdaniem, pożegnania Winston odwiesił słuchawkę.

Chessey pomyślała sobie, że jakby przyszło co do czego, to i Winstona Fairchilda trzeba będzie troszkę oszlifować.

Poszła do bufetu i usiadła przy tym samym stoliku naprzeciwko Dereka, który właśnie zdejmował z czerwonej plastikowej tacki talerz, na którym leżało sześć parówek ledwo widocznych pod musztardą, keczupem, plasterkami cebuli, plasterkami pomidorów i ogórków oraz małych ostrych papryczek.

Kilka osób z sąsiednich stolików z ciekawością przyglądało się zarówno Derekowi, jak i stojącemu przed nim talerzowi.

Derek zaczął machać przed sobą ręką, jakby odganiał muchy.

- Niech pani odejdzie. Chcę jeść sam, w spokoju.

- Naprawdę zamierza pan to wszystko zjeść? - spytała Chessey.

- Do ostatniej drobiny! - zapewnił ją poważnie. - W irackim więzieniu marzyłem o amerykańskich parówkach. Irakijczycy to dzikusy. Nie znają się na dobrym jedzeniu. I niech pani stąd odejdzie. Podczas jedzenia nie chcę żadnych uwag na temat trzymania noża i widelca, łyżki i tak dalej. I nigdzie z panią nie polecę.

- Ale, poruczniku... - Nie zdołała powiedzieć nic więcej, ponieważ na ustach poczuła dłoń McKenny.

Nie musiała jej odtrącać, gdyż McKenna bez wątpienia od razu zrozumiał niewłaściwość swego brutalnego gestu i dłoń cofnął, wybąkując nawet słowa przeproszenia.

- Na przyszłość niech pan nie śmie robić podobnych rzeczy! - syknęła.

Derek zaczął pogryzać parówkę nadzianą na widelec.

- Niech pani nie patrzy na mnie z takim przerażeniem. Już dobrze. Obiecuję, że nie zjem pani. Może pani sobie siedzieć, byle cicho. Żadnych uwag.

- Wielkie dzięki... - zaczęła sarkastycznie, ale przerwał jej gestem dłoni.

- Powiedziałem, że żadnych uwag. Żadnego gadania. Najlepiej ani słowa.

- Dobrze, Derek - odparła, ocierając palcami wargi palące po brutalnym zetknięciu z jego dłonią. - Będę milczała jak grób.

Derek obrzucił Chessy podejrzliwym spojrzeniem. Ona coś knuje, pomyślał. Ale co?

Tymczasem Chessey z niewinną miną podjadała mu chipsy. Otwarta już paczka leżała obok talerza z parówkami. Chociaż wiedziała, że długo nie przeżyłaby w irackim więzieniu i nie potrafiłaby z tego więzienia uniknąć,

była pewna, że pod jednym względem okaże się wytrwalsza od porucznika McKennny: nie odstąpi od niego na krok do czasu, aż osiągnie swój cel. A był nim awans w departamencie stanu. Kto wie, może jeszcze zostanie kiedyś szefową protokołu dyplomatycznego? To by dopiero zwróciło na nią uwagę klanu Banks Baileyów. Przestałaby być ubogą, ledwo tolerowaną krewną.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Chessey milczała jak zaklęta, tylko ciekawie się przyglądała, gdy Derek jedną po drugiej spałaszował pięć parówek, co i raz przegryzając je chipsami. Kusilo ją, by wygłosić kilka mądrych sentencji na temat szkodliwości spożywania pustych kalorii. Nad szóstą parówką Derek długo się zastanawiał i wreszcie zaproponował ją Chessey, mówiąc, że wygląda na wygłodzoną. Bez słowa, skinąwszy jedynie głową, przyjęła propozycję. W istocie była głodna.

W drodze do samolotu też powstrzymała się od mówienia, mimo że kusilo ją, żeby porozwodzić się na temat wagi misji, którą Derek ma przed sobą do spełnienia.

I, o dziwo - a kosztowało ją to wiele wysiłku - w czasie lotu do Louisville nie próbowała nawet mu wytłumaczyć, że picie coca-coli z puszki i wrzucanie sobie ziemnych orzeszków do ust łukiem z odległości pół metra nie należy do dobrych manier. Zachowała też godne podziwu milczenie, gdy stewardessa dała Derekowi swój numer telefonu.

Opuszczając samolot, pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu nie wytrzymała tak długo, nie wydając żadnego dźwięku. Milczała nadal, siedząc w niewielkiej maszynie, którą lecieli z Louisville do E'town i która parokrotnie wpadała w powietrzne dziury.

Dopiero po wylądowaniu w E'town, gdy wyszła z samolotu i rozejrzała się dokoła, doszła do wniosku, że nadszedł czas, by coś powiedzieć.

Porucznik McKenna jej nie okłamał: nie było taksówek. Jakże może istnieć lotnisko bez taksówek?! Nie było również telefonów. Nie było także dworca lotniczego, a tylko zardzewiały blaszany hangar na skraju rudego pasa startowego z wysuszonej w słońcu czerwonej glinki. A co się dzieje, kiedy przychodzą deszcze?

Derek McKenna skinął głową w kierunku Chessey i powiedział:

- Miło było razem lecieć. Do widzenia, panno Banks Bailey!

I to była właśnie chwila, kiedy przerwanie milczenia stało się absolutnie konieczne.

- Pan mnie tu chyba nie zostawi, poruczniku McKenna! - wykrzyknęła, widząc, że do samolotu, którego silnika pilot nawet nie wyłączył, wsiadają pasażerowie w liczbie czterech, bo tyle było miejsc w maszynie.

Derek jednak oddalał się szybkim krokiem w kierunku czerwonej furgonetki stojącej przed hangarem.

- Może pani wrócić tym samolotem. A jeśli nie ma miejsca, to następnym jutro - rzucił przez ramię. - Powiedziałem do widzenia, ale właściwie mam nadzieję, że już się nie spotkamy, panno Chessey Bailey Banks.

- Banks Bailey! - odkrzyknęła, bo czuła szum w głowie : nic mądrzejszego nie potrafiła wymyślić.

Patrzyła z daleka, jak Derek obejmuje starszego mężczyznę, który właśnie wyszedł z szoferki furgonetki. Wszystkie myśli gdzieś jej uciekły. Nie wiedziała, co robić. Było jej bardzo gorąco. czuła spływający pot na plecach i na karku. Wysokie obcasy pantofli zapadły się w wilgotną trawę.

Była bliska płaczu. Tak chciało jej się pić, że zamieniłaby otrzymany od babki naszyjnik z czarnych pereł na szklanę wody.

Sto metrów przed nią, pod lasem, Derek wrzucił wojskowy worek ze swoimi rzeczami do furgonetki, po czym sam wsiadł.

- Mam jedno wolne miejsce - usłyszała za sobą głos pilota. - Ten pan, co poszedł do samochodu, mówił coś, że pani ma wrócić... Oj, nie, nie mam wolnego miejsca, zapomniałem o ładunku. Ale jeśli pani chce, to mogę zrobić jeszcze jeden kurs. Ale to będzie trochę więcej...

Furgonetka odjechała. Po chwili została po niej tylko smuga pyłu. Derek McKenna umknął jej. A wraz z nim szanse kariery w departamencie stanu. No i szansa na bliższe poznanie człowieka, którego sobie upatrzyła, przystojnego i bogatego Fairchilda.

Nie, nie podda się. Nie darmo jest potomkiem Banks Baileyów, którzy przybyli do Ameryki na „Mayflower” i należą do grona najprzedniejszych rodów.

- Jest tu ktoś na lotnisku, jakiś przedstawiciel linii... ? - spytała pilota.

- A jest, jest. Rumsey Houchin. Agent linii. W hangarze. O nie, jest na zewnątrz! To ten. - Pilot wskazał palcem mężczyznę w roboczym kombinezonie. - Mam na panią czekać? Bo jakoś panią upakuję, jeśli bardzo się pani śpieszy.

- Nie mam zamiaru wracać - odpowiedziała i poszła w kierunku wskazanego człowieka.

Pilot wzruszył ramionami, wsiadł do maszyny, zatrzasnął za sobą drzwiczki i po chwili ryk motoru toczącego się po trawie smolotu oznajmił Chessey, że oto znika szansa strategicznego odwrotu do Waszyngtonu.

Weszła do hangaru i pośpieszyła za wskazanym jej Rumseyem Houchinem, który minawszy kilka, chyba na zawsze bezużytecznych, niegdyś latających maszyn, stanął przy czerwonym samochodzie marki Corvette.

Bez wstępów zadała mu pytanie:

-Przepraszam pana, czy zna pan lokalizację farmy McKennów?

Mężczyzna odwrócił się, patrząc podejrzliwie na Chessey.

-Pani przed chwilą przyleciała, prawda? Z Derekiem McKenną?

- Tak.

- Witam panienkę... - Wyciągnął do dziewczyny ubrudzoną smarami rękę.

Instynktownie się cofnęła. Ale nie zrażony mężczyzna przyoblekł twarz w

uśmiech. - Słyszałem, że wrócił. Bohater. U nas nikt nie wierzył, że zginął.

Pani jest jego tą... tą...? On się z panią może żeni?

- Nie!

-Ooo? Papa McKenna nie lubi, jak Derek sprowadza do domu dziewczyny, które chce... jak to mówią... zhańbić. - Houchin pokręcił głową.

-Panie Houchin, dobrze panu zapłacę, żeby tylko mnie pan zawiózł na farmę McKennów.

Mężczyzna przekrzywił głowę i spytał:

- Pani go tak bardzo kocha?

- Wcale nie.

- Zrobił pani dziecko?

-Nie zrobił żadnego dziecka! - wykrzyknęła zdesperowana. - To jest sprawa urzędowa. Jestem z departamentu stanu. Muszę pojechać na tę farmę i porozmawiać z panem Derekiem McKenną.

- A nie narozmawiała się pani w samolocie?
- Zawiezie mnie pan na farmę McKennów? - poprosiła błagalnym tonem.

Pokręcił głową.

- Nie - odparł zdecydowanie. - Nie zawiozę, bo nie ma po co.

- Niech mi pan przynajmniej powie, gdzie ona jest.

Wpakował usmarowane palce między rude włosy i długo się drapał.

- Ostatecznie... mogę. Najpierw trzeba iść do szosy sześćdziesiąt pięć, a potem sześć, a może dziesięć kilometrów tą szosą. Będzie Cave City. Z Cave City szosą numer siedemdziesiąt do Brownsville. Przy stacji benzynowej w Brownsville w prawo. I tam będzie farma McKennów.

- To stąd jest do niej ile kilometrów?

- A bo ja wiem? Rzadko tam bywam. Może osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt. Nigdy właściwie nie wiadomo, bo te górskie drogi są takie kręte. - Zaśmiał się z własnego dowcipu.

Chessey poczuła się zupełnie zgnębiona. Co za różnica, osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt? Dziesięciu by nie przeszła na swoich wysokich obcasach.

- W torebce mam studolarówkę - powiedziała. - Dam ją panu, jeśli mnie pan zawiezie - spróbowała raz jeszcze.

- Zachowaj pieniądze, panienko. Nie mam zamiaru rozzłościć starego. To mój kumpel.

- Kiedy ja naprawdę muszę dostać się na farmę! - prosiła nadal. - To bardzo ważna sprawa wagi państwowej.

- E tam! Derek miał na głowie przez dwa lata ważne sprawy państwowe. Teraz chłopak musi odpocząć.

Houchin otworzył maskę samochodu i zabrał się do oględzin silnika.

- Bardzo proszę...! - odezwała się głosem, który skruszyłby opór niejednego mężczyzny. Ale ten był uparty.

- Niech panienka kupi ode mnie bilet na następny lot albo zmyka z mojego hangaru - odparł ostro. - Nie przyłożę się do zrobienia krzywdy Derekowi.

Jeszcze przez dwie minuty Chessey stała za plecami pogrążonego w pracy mężczyzny. Była zupełnie zagubiona i nie wiedziała, co ma robić dalej. Wreszcie otrząsnęła się z odrętwienia. Bez słowa pożegnania wyszła z hangaru. Jeśli trzeba, to pójdzie pieszo na farmę McKennów, choćby to było i dwieście kilometrów. Cała jej przyszłość zależała od tego, jak wybrnie z tej sytuacji.

Rozejrzała się dokoła i po raz pierwszy zobaczyła, jak piękna 10 okolica. Tuż za trawiastym lądowiskiem wznosiły się smukłe drzewa, sięgające chyba nieba. Prześwitywało między nimi popołudniowe pomarańczowe słońce, złocąc bujną zieleń. Letnią sonatę hałaśliwie wybrzękiwały świerszcze.

Co za cudowny świat, pomyślała. Jakże różny od kamiennych szlaków Waszyngtonu i przeludnionych przedmieść stolicy. pełnych hałaśliwych supermarketów i korowodów limuzyn. Co za czarodziejski widok dla kobiety, która spędziła zbyt wiele lat życia wśród nowojorskich drapaczy chmur i w smrodliwych taksówkach.

Jednakże w tej chwili Chessey nie była w nastroju, by komponować dłuższą rapsodię na temat piękna Kentucky. Prawdę mówiąc, nie miała też większej ochoty zacząć maszerować wąskim pasmem spopielatego asfaltu.

Nie było jednak innego wyjścia. Ruszyła rezolutnie przed siebie, ignorując pęcherz na pięcie. Należało dotrzeć do drogi numer siedemdziesiąt. Tam z pewnością będzie panował jaki taki ruch i ktoś się zatrzyma, żeby ją podrzucić. Czarna teczka, jaką zaciskała w lewej dłoni, z każdą minutą stawała się coraz cięższa.

Ciekawe, że nie myślała ani o tym, że chce się jej bardzo pić, ani o trudach czekającej ją jeszcze drogi czy też o perspektywie rozmowy z McKennami, ale o tym, czy uda się jej przefaksować do Waszyngtonu miarę na mundur dla Dereka i otrzymać ten mundur po dwu dniach w Nowym Jorku.

Gdy uporała się z tymi myślami, podziękowała krótko Bogu za to, że nauczył ją przezorności. Zawsze nosiła w teczce torebkę z kosmetykami, szczoteczkę do zębów i pastę, zapasowy komplet bielizny, parę pończoch i kilka innych drobiazgów, które zawsze ma przy sobie harcerka.

Taka była teraz pewna, że osiągnie swój cel, dopadnie Dereka i podporządkuje swojej woli, że przeszła z kolei do planowania nowojorskiego kilkugodzinnego pobytu. Derek McKenna miał tam mieć swoją „premierę” podczas uroczystego obiadu Rady Lotnictwa Cywilnego. Jej kuzynka Merriweather z pewnością użyczy swego mieszkania, by Chessey mogła się odświeżyć po długiej podróży.

Chessey nabrała animuszu i szła w zupełnie dobrym nastroju, snując optymistyczne plany. Nie zauważyła nawet, kiedy białe chmurki ustąpiły czarnym i z nieba zaczęły padać najpierw pojedynczo, a potem coraz gęściej ciężkie krople deszczu.

- Ulituj się nade mną, Boże! - szepnęła, ale błaganie nie dotarło do niebios. Do kropel deszczu dołączyły krople jej łez.

Po kilku minutach miała przemoczone pantofle, mokrą kurtkę i zupełnie poplątane myśli.

Nie da rady! Cichutko łkała, zaciskając mocno powieki w nadziei, że to jej pomoże zebrać myśli i znaleźć wyjście z pułapki, w którą się wpakowała.

Może właśnie z powodu zamkniętych oczu nie zauważyła i nie usłyszała jadącej w jej kierunku czerwonej furgonetki, która zwolniła i zatrzymała się tuż obok.

- Hej! - usłyszała męski głos.

Zaskoczona otworzyła oczy i w oknie szoferki zobaczyła głowę Dereka.

- Niech pani wskakuje! - Otworzył drzwiczki. - Chyba ma pani niedobrze w głowie, spacerując w takim deszczu. - Trudno było powiedzieć, czy mówi poważnie, czy też sobie kpi.

Chessey była tak uradowana widokiem Dereka, że nawet nie obraziła się na opryskliwy ton i nie zrewanżowała żadną złośliwością, na którą w pełni zasługiwał, a suche wnętrze szoferki wydało jej się nagle rajem. Przemoczona wgramoliła się szybko, siłą rzeczy mocząc ubranie siedzącego tuż obok kierowcy Dereka. A kierowcą był szczupły siwy mężczyzna w kombinezonie roboczym, który bez entuzjazmu wymamrotał krótkie „cześć, panienko”.

- Nie zabrałem jej, tato, bo... nie chciałem - wyjaśnił ojcu Derek. - A dlatego nie chciałem, bo na żonę się nie nadaje.

- I bardzo dobrze, synu - odparł starszy mężczyzna. - Bardzo dobrze, że się nie żenisz, bo nie ma na to czasu, a poza tym żadna z nich nie jest tego warta...

- Czyżby? - obruszyła się Chessey.

- I na pewno nie bylibyście dobrą parą - ciągnął niewzruszony papa. - Jesteście do siebie za bardzo podobni. Oboje uparci jak osły. Ty, żeby od kobiet uciekać, ona, żeby gonić mężczyzn.

- Uparty jak osioł, to ja może jestem - mruknął Derek. - Ale podobny do niej na pewno nie jestem. Jeszcze by tego brakowało.

Chessey zacisnęła wargi i patrzyła przed siebie, a potem wyrwało się jej nagle:

- Jestem uparta. W Waszyngtonie nazywają to właściwym stosunkiem do czekających na rozwiązanie problemów. Ale do pańskiego syna na pewno nie jestem podobna. Ośli głupi upór na każdym kroku i to bez żadnej potrzeby.

Ale mu dosoliłam, pomyślała i pokręciła głową.

Obaj mężczyźni w milczeniu pokiwali głową. I pojechali,

Cave City, Renfrow Market, Chlewnia Na Skrzyżowaniu, Pistoletowa Osada, Brownsville... Osiedla, jakie znaczyły drogę do farmy McKennów były malutkimi osadami: kilkanaście domków, sklepik spożywczy, sklep z turystycznymi pamiątkami i nic więcej. Turystyczne pamiątki to były głównie barwne skały, wyrąbane w okolicznych górach i sprzedawane po dwa dolary za sztukę z etykietką, że pochodzą z Mamucich Pieczar. Chętnie kupowali je przygodni kierowcy, którzy zjechali z czteropasmowej autostrady i zagubili się w tej opuszczonej okolicy. I chociaż niemal

równolegle biegnącą autostradą papa McKenna dojechałby co najmniej o pół godziny wcześniej, wolał kręte, ale bliższe sercu lokalne drogi.

- Kiedy tędy jadę, to nie muszę czytać przydrożnych reklam - wyjaśnił, obracając głowę ku Chessey, której obecność wydawał się akceptować jako wypadek przy pracy.

Między osadami ciągnęły się pola obsadzone tytoniem, soją lub po prostu soczystą trawą dla hodowanych tu mlecznych krów. Na polach i między nimi stały farmerskie budynki mieszkalne, obok nich stodoły o jakby wklęsłych dachach i często smukłe stalowe silosy. Tu i ówdzie dzieci pędziły do obór krowy, by je uchronić od nadmiaru deszczu, który już dawno zmył z grzbietów wszelki pył. Chessey zauważyła, że mimo pozorów nie była to bogata ziemia. Farmerskie domy były małe, przeważnie z cegły, choć tu i ówdzie stały budowle większe w przygasłej krasie „drewnianego gotyku” ubiegłego stulecia. Ale ludzie, siedzący na gankach tych z pozoru zamożniejszych budynków, byli skromnie ubrani, a droga wiodąca tą krainą, od dawna wymagała już ekip remontowych.

Jednak na twarzy Dereka malował się błogi uśmiech człowieka, który wraca do ukochanego domu. Wdychał głęboko powietrze i z zachwytem rozglądał się po okolicy. Kilka razy westchnął z jękiem niemalże rozkoszy.

Derek był właściwie zadowolony, że zabrał do furgonetki narzuconą mu opiekunkę. Teraz będzie mógł skutecznie się jej pozbyć. Pannie Chessey ta okolica nie mogła się podobać. Ona nie wytrzyma na farmie nawet godziny. A jemu wystarczy godzina, by opracować plan, który go uwolni od trzydziestu dni tortury, na jaką chcą go skazać przełożeni i ci panowie z departamentu stanu.

Potrzebna mu jest godzina skoncentrowanego planowania. Derek wiedział, że umie dobrze planować i krzyżować plany swoich przeciwników.

Co go właściwie skłoniło, żeby kazać ojcu zawrócić i zabrać Ł drogi tę pannę? Chyba tylko litość. Nie zostawia się kobiety na drodze, w ulewnym deszczu. A skąd wiedział, że ona ruszy pieszo drogą? Instykt mu to podpowiedział. No, bo poznał ją dostatecznie przez te kilka godzin. Pasuje do niej takie zachowanie. Uparta jak osioł... Jak on sam...

- Zatrzymamy się u Nony, tato!
- Mam obiad w domu - zaprotestował ojciec.
- Dobrze, ale ja chcę marynowanej główizny z flakami.

Stary McKenna niemal podskoczył.

- Nigdy tego nie lubiłeś - odparł zdumiony. - To ja to jadłem. To, co wszyscy podczas kryzysu.

- Zateśniłem za tym.

- Bredzisz, synu. Nikt nie tęskni za główizną i to do tego z flakami. A ty najmniej. O co ci chodzi?

- A co to właściwie jest to, o czym mówicie? - spytała Chessey, strąsając jakieś pyłki z mokrej spódnicy.

Derek zerknął na dziewczynę i mimo woli zatrzymał na niej wzrok dłużej, niż zamierzał. Zaczesała włosy, poprawiła szminkę na ustach, uperfumowaną chusteczką osuszyła uszy. Na pewno uperfumowaną, bo zapachniało.... Wcale, wcale interesujący widok! Ani śladu po biednej, zmoczonej deszczem osobie, którą zabrał z szosy. Przecież ona wygląda niemal tak świeżutko jak wtedy, kiedy weszła do gabinetu w departamencie stanu, a on ją pocałował... Właściwie to po jakie licho ją całował? No, żeby

tamtym pokazać, że się nie nadaje na publiczne występy. Ale było całkiem przyjemnie...

- Co to jest to marynowane...? - spytała po raz wtóry Chessey.

Derek odchrząknął, upominając sam siebie za niesforne myśli.

- To taka specjalność tego regionu Kentucky. Kiedy siedziałem w Bagdadzie w więzieniu, to wprost marzyłem o tym...

Stary McKenna parsknął śmiechem.

- Oj, synu, synu! Potrafię wymienić dwadzieścia rzeczy, o których mogłeś marzyć, ale nie ma wśród nich marynowanej główizny. - Niemniej zjechał na błotnisty plac przed sklepikiem Winony.

Deszcz właśnie przestał padać. Chessey otworzyła drzwiczki samochodu, ale kiedy zobaczyła, w co musiałaby wejść, gdyby opuściła wóz, zamknęła je z powrotem.

- Chciałbym wysiąść - powiedział Derek, obdarzając Chessey niewinnym uśmiechem. - Damy mają pierwszeństwo.

Zerknął na drugą stronę kabiny, gdzie drzwiczki stały otworem. Stary McKenna był już na zewnątrz.

- Ojciec pana już wysiadł... - zaczęła, ale Derek jej przerwał, mówiąc:

- Piękne ma pani pantofelki. Pewno jakieś Chanel albo coś takiego...

- Chanel. Skąd pan to wie?

- To i owo się wie. Musiały dużo kosztować. Byłoby ich szkoda.

- Byłoby ich szkoda - potwierdziła zimno.

- No, to może poproszę tatę, żeby panią odwiózł do Paducah albo z powrotem do E'town? Tam mają hotele i motele, i ładne sklepy. Bo może jednak farma to dla pani zbyt wielki trud... W Paducah są też dobre

restauracje. O tak, mają tam świetną kuchnię. No ale, jak już powiedziałem poprzednio, żyjemy w wolnym kraju i każdy może robić, co chce, jechać, dokąd chce. Ja chcę jechać na farmę...

Chessey wyskoczyła na ziemię, zanim jeszcze Derek skończył mówić. A kiedy skończył, zbaraniał ze zdumienia. Przed chwilą dałby głowę, że ta panna machnie na niego ręką i powie, że chce wracać. Twarda sztuka. Może będzie potrzeba więcej czasu niż godzina, by wykombinować, jak jej się pozbyć. Zwłaszcza że zdumiewaniu się nie było końca. Chessey spokojnie zdjęła pantofle i bosą poszła w kierunku sklepowego ganku, gdzie stał już stary McKenna i wszystkiemu się przyglądał.

- Co ty, kobieto, wyrabiasz?! - krzyknął za nią Derek.

- Stosuję się do lokalnych obyczajów - rzuciła mu przez ramię, po czym uraczyła leciutkim uśmiechem, na który większość mężczyzn zareagowała przyśpieszonym oddechem.

- Ale uparte osły! - krzyknął z ganku stary McKenna. - Ty i ona dobraliście się jak dwa ziarnka w korcu maku. Uparte osły! Nie! Osioł i oślica. - Pod nosem jeszcze dorzucił: - Ciekawe, jak to się skończy. Będzie zabawa. - Machnął ręką i zniknął w głębi sklepu.

Za nim weszli Derek i Chessey.

- To jest marynowana główizna - poinformował Derek, wskazując na galaretowatą masę pod kloszem.

- To?! - Chessey wzięła głęboki oddech.

- Tak jest, proszę szanownej pani. Marynowany wieprzowy mózdzek, wieprzowe flaki i inne takie w octowej galarecie. Je się to tutaj z krakersami, serem i ostrym sosem tabasco. A popijać najlepiej coca-cola.

- Hmm. To może być bardzo dobre...

Derek patrzył podejrzliwie na Chessey. Kilkoro dzieci obecnych w sklepie przyglądało się jej jak zjawie z innej planety - jakiejś nieziemsko eleganckiej postaci, co prawda tylko od kolan w górę, bo poniżej były dziury w pończochach i ubłocone stopy, co stanowiło raczej żałosny widok.

Ale nogi ma ładne, pomyślał Derek.

- Derek się żeni - obwieściła jakaś starsza dziewczynka.

- Derek McKenna, mój kochany chłopczyk! - wykrzyknęła siwa kobieta przy ladzie. - Żenisz się? Tata się zgodził?

- Musiał się zgodzić, bo inaczej tej pani by tu nie było - odparła dziewczynka. - Mama mi mówiła, że jego tata zgodzi się na przywiezienie tu tylko takiej, z którą Derek się ożeni.

- Z nikim się nie żenię i dajcie mi spokój! - krzyknął Derek.

Kątem oka zauważył, że Chessey ma bardzo rozbawioną minę. Podszedł do lady i grubej niewieście załatwiającej klientów podał wyciągnięty z kieszeni kryształowy flakonik. - Mam coś dla ciebie, Winona - powiedział.

- Ojej! „Bał w Wersalu"! Pamiętałeś.

- Mam nie pamiętać o mojej pierwszej miłości? - odparł Derek.

- Za każdym razem, jak tu się pojawia, przywozi mi flakonik tych perfum - oświadczyła Winona obecnym w sklepie. - Ostatni już mi się kończy. Ale to chyba nie z Bagdadu? - spytała Dereka.

- Z Waszyngtonu - wyjaśnił.

- I ją też tam znalazłeś? - Winona wskazała głową Chessey.

- Tak.

- Nie brak jej czegoś? Na przykład pary butów?
- Ona lubi tutejsze zwyczaje.
- Tutejsze zwyczaje? Tylko dzieciaki latają tu bosy.
- No, to może nie spodoba się jej i wyjedzie.
- Kiedy ślub?

Do lady podszedł stary McKenna, niosąc wzięte z półki pudełko krakersów, butelkę ostrego sosu tabasco i sześć puszek coca-coli.

- Żadnego ślubu nie będzie - oświadczył.

- No, to po co tu jesteś, kochana? - spytała Winona, zwracając się do Chessey.

- Żeby kupić marynowaną główkę i mózdzek - odparła Chessey. - Derek marzył o tym w więzieniu. I powiedział, że u pani jest najlepsza marynata. Przez kilka ostatnich kilometrów tylko o tym mówił.

Derek domyślał się gry Chessey, ale Winona połknęła haczyk i była wniebowzięta. Schowała perfumy do kieszonki fartucha i natychmiast podeszła do oszklonej chłodziarki. Wyciągnęła z niej jedną z opakowanych w celofan potężnych porcji swego przysmaku. Położyła ją przed Chessey jakby do wglądu i aprobaty.

W żelatynowej masie widać było prześwitujące skrawki mięsa, jelit i trudnych do zidentyfikowania kawałków. Derek poczuł lekkie mdłości.

- Wygląda wyśmienicie - stwierdziła niemal radośnie Chessey. - Derek powiedział mi, że to się jada z serem, krakersami i ostrym sosem tabasco. Muszę spróbować. No i popija się coca-cola, prawda?

- Winona obrzuciła Dereka wzrokiem, który wyraźnie oznajmiał, że przejrzała jego diabelski plan, ale niezbyt rozumie, do czego on prowadzi.

Bez słowa odkroiła plaster galaretowatej masy i położyła na talerzu, odtrącając dłoń starego McKenny, który nie bacząc na żadne maniery, sięgnął palcami po swój ulubiony specjał.

- To nie dla ciebie, stary! - zgromiła go Winona - ale dla tej pani. Prezent od firmy. Chcesz, to sobie kup!

Chessey zaniósła talerz i butelkę z sosem do wysokiego barowego stolika pośrodku sklepiku, po czym bez zwłoki zabrała się do jedzenia. Towarzyszyły jej zaciekawione spojrzenia obecnych oraz złośliwy wzrok Dereka. Nabrała trochę galaretowatej masy na krakersa, skropiła sosem, połknęła, uśmiechnęła się i sięgnęła po drugiego krakersa.

Derek otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Jej to smakuje, Boże drogi! Czy nie ma sposobu zniechęcenia tej kobiety? Przecież powinna skrzywić się i zwymiotować, a potem poprosić o środek transportu do E'town.

- Spróbuj i ty, Derek! - Winona ofiarowała Derekowi drugi talerz z plastrem lokalnego przysmaku.

Co miał robić? Wziął go i podszedł do stolika, przy którym Chessey kładła właśnie plasterki sera na trzeciego już krakersa. Z ociąganiem zrobił to samo i skropił sosem. Przed oczami miał obraz świnek o prześmiesznych pyszczkach. Bawił się z nimi za młodu. Bohatersko podniósł krakersa do ust i pochłonął wraz z całym ładunkiem. Po chwili wybiegł ze sklepu i oddychając szeroko otwartymi ustami, oparł się mokrym od potu czołem o słup ganku. Przysięgał sobie, że już nigdy, ale to nigdy, nie weźmie do ust podobnego świństwa. Dosłownie świństwa. Jakże Chessey mogła coś podobnego przełknąć i powtórzyć doświadczenie jeszcze kilka razy?

Za sobą usłyszał trzaśnięcie drzwi.

- Doceniam pańskie wysiłki, by się mnie pozbyć - powiedziała Chessey.
- Jest pan bardzo pomysłowy i lepiej teraz rozumiem, jak się panu udało oszukać Irakijczyków. Niech pan popije colą, to mdłości albo panu przejdą, albo szybko pan zwymiotuje i też będzie po wszystkim.

Obrócił się. W wyciągniętej dłoni Chessey trzymała butelkę coca-coli.

Dobrze, że nie maczuję, żeby mnie zdzielić po głowie i potem nieprzytomnego zawlec do Nowego Jorku, pomyślał, czym dowiódł, że jeszcze nie stracił poczucia humoru.

- Ja nie jestem Iranką, czy jak tam się to mówi. Mnie nic nie odstraszy, żeby iść pańskim śladem...

- Nie Iranką, ale Irakijką - poprawił ją.

- Wszystko jedno. Ważne jest to, że otrzymałam do wykonania zadanie i zamierzam je wykonać. A gdy wykonam, to będzie panu po prostu łatwo i może nawet przyjemnie poruszać się po salonach, gabinetach, hotelowych apartamentach. Będzie pan nawet umiał posługiwać się kurkami w łazienkach najelegantszych hoteli. Uczenie tego jest moją specjalnością.

Derek patrzył na nią zupełnie oszołomiony i dłonią otarł usta, jakby chciał się pozbyć nawet wspomnienia smaku galaretowatego paskudztwa.

- Ręką nie ociera się ust - skarciła go Chessey. - Etykieta tego nie przewiduje. Po trzydziestu dniach może pan powrócić do pierwotnego bytowania, ale przez najbliższy miesiąc obowiązują pana cywilizowane rygory. Zrozumiano? - spytała tonem generała rozmawiającego z podwładnym niskiej rangi.

- Żadne trzydzieści dni. Żadna etykieta. Jestem, kim jestem. Bardzo mi z tym dobrze i nie zamierzam się zmieniać. - Wymierzył w Chessey

wskazujący palec. - Dziś jest już za późno, ale jutro odleci pani z E'town pierwszym samolotem. Sama. Zrozumiano?

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

McKennyowie gospodarowali na dziesięcioakrowej farmie, której sercem był drewniany dom mieszkalny, obity deskami pomalowanymi na biało, oraz stojąca tuż obok obora z czerwonej cegły. Dom i oborę zbudował pradziadek Dereka. Zamienił on sadzenie ziemniaków w Irlandii na uprawianie tytoniu w Ameryce. Dziadek Dereka porzucił tytoń dla mlecznych krów, a z kolei ojciec krnąbrnego porucznika zainteresował się soją, gdyż obiecywała lepszy dochód. Tak czy inaczej McKennyowie wiedzieli, jak najlepiej wykorzystać ziemię, na której osiedli.

Wszyscy, z wyjątkiem Dereka. Derek nie pasjonował się uprawą roli i już przed dziesięcioma laty umknął z farmy w poszukiwaniu wielkiej przygody. To nie znaczy, że nie potrafił pracować na farmie. W wieku dziesięciu lat nauczył się prowadzić traktor i pomagał ojcu. Ale nie miał serca do ziemi. Studia w college'u nie zaspokoily jego ciekawości świata i, aby uniknąć życiowej nudy, jaką zapowiadało pozostanie na farmie, zaciągnął się do wojska.

Chociaż bardzo kochał ojca, wizyty, jakie mu składał w czasie urlopu, uważał tylko za obowiązek. Przywoził perfumy Winonie, zanosił kwiaty na grób matki, która umarła, gdy był jeszcze dzieckiem, przez tydzień zastępował ojca przy najcięższych robotach, a potem przenosił się na kilka dni do sanatorium dla oficerów w służbie czynnej, by w końcu wrócić do jednostki.

Tak jak wszyscy dokoła, Derek zdawał sobie sprawę, że na ojcu kończy się saga rodu McKennów- farmerów, niemniej jadąc w kierunku rodzinnego domu, miał wielką pokusę zatrzymać wóz, wysiąść i ucałować ziemię.

Jestem w domu, wróciłem do domu ojca, dziadka, pradziadka, powtarzał sobie. Tu tkwią amerykańskie korzenie McKennów. Tu jest moje miejsce. Chyba jednak powinienem zostać na farmie i przejąć gospodarkę po ojcu. Bardzo poważnie się nad tym zastanawiał. Poczł prawdziwą czulość do tego miejsca, do ojca, do tradycji.

- Tato... - zaczął załamującym się głosem.

- Nie mów nic więcej, synku. Wiem, co ci po głowie chodzi. Że nigdy już stąd nie wyjedziesz...

- Tak, że nie opuszczę już nigdy farmy. - Derek zauważył, że rytm jego mowy zaczyna przypominać, zdawałoby się dawno zapomniany, akcent mieszkańców Kentucky.

Zza ramienia ojca wyjrzała ku niemu blond głowa.

- Przykro mi burzyć pańskie sny, poruczniku, ale za trzy dni ma pan pojawić się w Nowym Jorku - powiedziała Chessey.

- Jasna cholera, zupełnie zapomniałem o obecności pani nauczycielki - warknął Derek. - A już przeżyłem takie przyjemne ciche dziesięć minut bez pouczeń i poleceń.

- Jestem tu i zostanę. I będę pana eskortowała do Nowego Jorku, a potem do Baltimore.

- Droga panno Bailey Banks czy tam Banks Bailey, oświadczam pani, że nigdzie mnie pani nie będzie eskortowała czy eksportowała. Nigdzie z panią nie pojedę, chyba żeby odwieźć panią na lądowisko w E'town.

- Zawarł pan porozumienie z rządem Stanów Zjednoczonych - oświadczyła surowo Chessey. - I musi pan własne zobowiązanie honorować. Pański przełożony, szef sztabów połączonych, oczekuje od pana wypełnienia patriotycznego obowiązku.

- Przykro mi, że zawiodę panią i pana generała. Jeśli pani koniecznie chce, to mogę do niego zadzwonić i powiedzieć mu, że zmieniłem zamiar. Zostaję w domu. Wyjeżdża zaś pani. Zabrałem panią tylko dlatego, że należę do ludzi, którzy nie mogą znieść widoku nieszczęśliwych, głodnych, zagubionych psiaków.

Chessey poczerwieniała i wykrzyczała prosto w ucho starego McKenny, bo odgradzał ją od Dereka:

- Pan mnie obraża. Nie jestem zagubionym psiakiem! Jestem specjalistką od spraw dobrych manier w biurze protokołu dyplomatycznego departamentu stanu...!

- Cicho, sza! Dajcie spokój, dzieciaki, i nie rujnujcie wspaniałych dla mnie chwil powrotu do domu mego jedynego syna, którego wszyscy w okolicy już dawno pogrzebali.

- Bardzo mi przykro, panie McKenna, przepraszam - wyjąkała Chessey.

- Bardzo mi przykro, tato, przepraszam - powtórzył jak echo Derek.

- Prowadź wóz spokojnie, synu, jedź wolno, rozglądaj się, przypatruj wszystkiemu, czegoś przez tak długi czas nie widział, i dziękuj dobremu Bogu, że pozwolił ci tu wrócić. I prosz, żeby pomógł ci znaleźć właściwą drogę na przyszłość.

- Drogę do Nowego Jorku - wtrąciła Chessey.

- Sza, cicho, dziewczyno, nie denerwuj mojego syna, bo czeka go poważna robota. Musi nareperować płoty, tam gdzie powaliły je w zimie wiatry i śnieg. To dla mnie już za trudne. A potem chcę, żeby się zajął oborą. Potrzeba jej dobrego odnowienia...

Derek najwidoczniej skończył dziękować Bogu za jego łaskę, gdyż odezwał się niemal radosnym głosem:

- Sporządź listę, tato, jutro rano zaczynam.
- A ja będę pomagała...

Ojciec i syn spojrzeli zdumieni na Chessey.

Derek zarechotał.

- Z przyjemnością panu pomogę, poruczniku. Będziemy oboje harować, póki nie nadejdzie czas wyjazdu do Nowego Jorku.

- Pękam ze śmiechu - odparł Derek. - Czy pani wie, że reperowanie płotów i malowanie obory jest nieco trudniejsze od przekładania papierków na ministerialnym biurku? A w ogóle, moja panno... to mam pani dość... Dość! - Zajechał na podwórko przed białym drewnianym domem i ostro zahamował. Wyszedł z samochodu i głęboko wciągnął powietrze. Jak tu cudownie, pomyślał. Jakże mógł być taki głupi, żeby to miejsce opuszczać?

Po przeciwnej stronie szoferki wyszła właśnie Chessey.

- To mój dom! - powiedział do niej, wskazując z dumą przybrudzone białe deski.

- Możemy też pomalować dom - zaproponowała Chessey. - Przydałoby się. Pomogę. Umiem malować. Zrobimy co się da, i polecimy do Nowego Jorku. Będzie pan mógł skończyć potem...

Derek miał na końcu języka złośliwą odpowiedź, ale powstrzymał go głos ojca, który gramoląc się z wozu, pokrzykiwał, że w życiu nie widział podobnie zakutych łbów i uparciuchów, jak ta dziewczyna i jego własny syn.

- Księżniczka i osioł - zakończył, znikając w głębi domu.

Rzeczywiście księżniczka, pomyślał Derek, patrząc na

Chessey. Mimo że jest boso, ubłożona po kolana i nieco rozczochrana, gdzie jej tam do łopaty, do młotka czy za kierownicę traktora. Zwłaszcza w tej jednej sukience, jaką ma. W dodatku od Chanel, chyba że guziki z podwójnym „C” na różowej kreacji są podróbką.

- Dobrze, dobrze, może pani pomagać, ile pani chce - powiedział kpiąco, ale zrobiło mu się okropnie głupio i dziwnie, gdy Chessey obdarzyła go uroczym uśmiechem. I pomyślał sobie, że gotów by zapłacić każdą cenę, byle mieć przy sobie kobietę, która by zawsze tak się do niego uśmiechała.

Takiej myśli nie przewidywał nawet na sekundę przedtem, nim się pojawiła.

Głupieję, skonkludował. Sytuacja wymyka mi się z rąk. Co się ze mną, do cholery, dzieje?

Przez kilka sekund stali naprzeciwko siebie, ni to nastroszeni, ni to zapatrzeni w siebie. Raczej chyba nie zamyśleni...

Chociaż, kto wie!? Derekowi przyszło nagle do głowy, że miałby wielką ochotę pocałować Chessey.

Uświadomił sobie, że przecież właśnie tego ranka już to zrobił. A chociaż celem było zaszokowanie gromady dostojników, zdołał ocenić miękkość jej warg i słodycz, i mimowolne dotknięcie jej języka. Boże drogi, jakie to było wspaniałe... Muszę to powtórzyć!

Spokojnie, chłopie, skarcił się. Byłeś przez dwa lata w okropnym więzieniu, nie miałeś kontaktu z kobietami, a teraz zetknięcie z pierwszą napotkaną po drodze uważasz za coś wspaniałego... Zetknięcie z urzędniczką departamentu stanu - nie, ale pocałunek z dziewczyną - tak. Dwa lata to długo, ale nie tak długo, by mógł zapomnieć, jak smakuje dobry pocałunek i jak go odróżnić od takiego sobie. Ciekawe, czy ona uważa go za mężczyznę pociągającego? Tak naprawdę nigdy przedtem nie zastanawiał się, czy ma dosyć powabu, by mieć powodzenie u kobiet. Właściwie to każdy umundurowany mężczyzna je ma. Kobiety głupieją na widok munduru. A do tego munduru oficerskiego! Nie musiał narzekać.

Ale teraz zrzuca mundur. Obecna sytuacja jest inna. Może przestanie mieć powodzenie, bo nie posiada osobistego wabika? Może w więzieniu się postarzał i stracił, jak to się mówi, owo coś. A może przez te kilka lat w ogóle się zmienił?

Ponadto ta kobieta jest inna od kobiet, jakie znał w przeszłości.

- Wiesz co, Chessey... - zaczął, uważając, że powinien ją ostrzec o zamiarze pocałowania jej, ale przypomniał sobie, że ma nie całować, póki ona wyraźnie o to nie poprosi.

- Muszę skorzystać z telefonu - powiedziała Chessey, wyciągając z szoferki teczkę. - Powinnam zawiadomić pana Fairchilda, gdzie jestem, Tu jest telefon, prawda?

Magiczna chwila minęła. Derek w duchu machnął ręką na Chessey. Tej dziewczynie brak tego czegoś, co może uczynić jednorazową przygodę miłosną czymś wartym zachodu. I brak jej też tego czegoś innego, co mogłoby z niej uczynić dobrą farmerską żonę. Może odwagi? Chociaż

Chessey postępuje z determinacją, jakiej się nie spodziewał. I przyjechała na to pustkowie za nim. Właściwie z nim. I jadła to marynowane świństwo. Może...?

Nagle sobie przypomniał, że Chessey ma przecież misję do spełnienia. Misję pozbawienia go rozkoszy powrotu na wieś. Ma go dostarczyć do Nowego Jorku f Ale on też ma do spełnienia misję: ma się pozbyć Chessey z farmy.

- Ma pan może faks?

- Faks? - Derek zaśmiał się. - Koniec zabawy. W niczym mi pani nie będzie pomagała. Jutro rano odwiozę panią na samolot. I mówię bez ogródek: nie chcę tu pani!

Nie czekając na jej reakcję, wszedł do domu bocznymi drzwiami. Nawet się nie obejrzał, Drzwi ze sprężyną zatrzasnęły się za nim z hałasem.

Do diabła z kobietami, do diabła z Chessey! Z rozkoszą wciągał zapach pieczonej kury obłożonej pomidorami. Z rozczeniem rozglądał się po dawno nie widzianej kuchni. W drzwiczkach piekarnika paliła się lampka. Zobaczył dopiekającą się szarlotkę. Na półkach stały w tym samym porządku te same puszki, które zapamiętał sprzed lat. Z mąką, z cukrem, z biszkoptami...

Z kolei wsłuchał się w warkotliwy szum pralki w piwnicy i w szmer ludzkich głosów płynących z głośnika - ojciec nigdy nie wyłączał radia, grało dzień i noc.

- Tato, wreszcie jestem w domu! - wykrzyknął radośnie do ojca kręcącego się przy stole kuchennym.

- Jesteś w domu, synu. Modliłem się co noc o to, żebyś tu wrócił. A teraz, kiedy już jesteś, ledwo wierzę własnym oczom. - Stary McKenna podszedł do syna, położył mu dłonie na ramionach. Z oczu bruzdami spływały mu łzy.

Derek patrzył czule w pomarszczoną twarz ojca. Ileż z tych zmarszczek powstało z jego winy...

- Brakowało mi ciebie - powiedział cicho.

Ani on, ani ojciec nie byli mężczyznami uzewnętrzniającymi uczucia i może dlatego ich uścisk był bardzo nieporadny.

Do kuchni weszła Chessey. Widząc ojca i syna w tak rzadkim dla mężczyzn zbliżeniu, mruknęła coś na temat telefonu i dyskretnie się ulotniła.

- Chessey, on musi być w Nowym Jorku w wyznaczonym terminie! - ostrzegł ostro Winston Fairchild Trzeci. - I masz dopilnować, by w jego wystąpieniu znalazła się wzmianka na temat kongresowej ustawy numer trzydzieści cztery, osiemdziesiąt dwa.

- Za czy przeciw?

- W tej sprawie zadzwoń do mnie jeszcze raz. Prezydent dotychczas nie podjął decyzji. No i mam nadzieję, że dopilnujesz też, aby nasz porucznik był w galowym mundurze i zachowywał się przyzwoicie przy stole. Na obiedzie Rady Lotnictwa Cywilnego będzie siedział obok żony gubernatora. Nie wolno mu popełnić żadnej gały.

Zrobiła notatki na żółtej kartce nieodłącznego bloczku do zapisków. Zawartość jej teczki leżała rozłożona na podłodze. Chessey też siedziała na podłodze. Bardzo lubiła to robić. Do rozmowy telefonicznej wybrała sypialnię gościnną, w której miała tej nocy spać.

Gdy skończyła rozmowę, rozejrzała się po pokoju. Łóżko o ozdobnym mosiężnym wezglowiu, ręcznie szyta wielokolorowa kołdra i poduszki w koronkowych poszewkach stwarzały miłą, domową atmosferę.

Zamierzała wziąć teraz prysznic, a potem wśliznąć się między prześcieradła i nieco odpocząć po pełnym emocji i trudów dniu.

Przypomniała sobie podpatrzony uścisk ojca i syna. Pomyślała, że Derek nie jest wcale taki twardy i nieczuły, za jakiego chce publicznie uchodzić. Świadczyła o tym scena w kuchni. A poza tym jest pewno teraz piekielnie zmęczony. Przecież po wymknięciu się z Iraku nie miał ani jednego dnia prawdziwego odpoczynku.

W czasie rozmowy telefonicznej Winston wspomniał, że badania w wojskowym szpitalu w Wiesbaden wykazały, że porucznik McKenna jest właściwie w bardzo dobrej formie fizycznej. Ale dobrej formie fizycznej nie zawsze odpowiada, stan psychiczny. A urazy, jakie miał po przejściach, bywają głębokie i reakcje często przychodzą później, niż można by się spodziewać.

Na zakończenie rozmowy Chessey nieśmiało poprosiła Winstona, by może zwolnił Dereka z tak wczesnego występu w Nowym Jorku i dał mu jeszcze kilka dni oddechu. W odpowiedzi Fairchild po prostu odłożył słuchawkę.

Podparłszy brodę dłonią, siedziała teraz zamyślona na podłodze, wpatrując się w plamę na tapecie.

- Jakies problemy? - usłyszała pytanie.

Podniosła głowę. We framudze drzwi stał Derek z uśmiechem na świeżo ogolonej twarzy. Widać było, że dopiero co wziął prysznic. Miał na

sobie czyściutkie dżinsy i wyprasowaną białą koszulę. W rękach trzymał stos równie białych ręczników.

- Te, co zawsze - odparta, - Nic nowego.

- Jutro je pani rozwiąże bez trudu. Już w południe będzie sobie pani siedziała w swoim waszyngtońskim biurze.

- O nie! Zostanę tu, przy panu. - Wstała. Pomyślała sobie, że byłaby w lepszej sytuacji, gdyby przewyższała Dereka choćby o ćwierć głowy. Niestety, przy nim wydawała się malutka. - A do Nowego Jorku polecę w towarzystwie niejakiego porucznika Dereka McKenny.

Derek podszedł parę kroków i podtrzymując ręczniki lewą ręką, prawą dłonią otarł jej coś z policzka.

Dotyk jego palców wywołał w niej nieokreślone uczucie. Czy on otrze coś i z drugiego policzka?

Nie zrobił tego. Obrócił się i odszedł na poprzednie miejsce, stając we framudze drzwi.

- No, to wobec tego na dzisiejszy wieczór zgódźmy się co do jednego: że nie ma między nami zgody na temat przebiegu wypadków w dniu jutrzejszym - powiedział. - Oto ręczniki. Tata je przesyła. W szafce w łazience są różne przybory toaletowe. Może się przydadzą. Cieszę się, że odgadła pani i bezbłędnie trafiła do pokoju gościnnego, a nie do mojego z młodzińskich lat.

Kto wie, może tymi słowami chciał jej powiedzieć, że ceni fakt, iż zachowała się dyskretnie, umykając z kuchni, gdy zobaczyła syna i ojca w czułym zbliżeniu.

Położył ręczniki na krześle i wychodząc, poinformował:

- Kolacja za dwadzieścia minut. To znaczy obiad. I niech pani uważa na bawełniaki. Nazywają je tutaj... Eee, nieważne, jak je nazywają.

- Co to za bawełniaki?

- Nieważne. Nie powinienem być o tym wspominać. Na farmie rzadko się pojawiają.

- Kiedy ja chcę wiedzieć.

- Nie chcę pani niepotrzebnie straszyć.

- Proszę mi powiedzieć, co to są bawełniaki! - zażądała stanowczym głosem.

- To są takie węże... tej wielkości... - Rozstawi! dłonie na ćwierć metra, potem na pół. - Jadowite. Żyją w Mamucich Pieczarach, ale nocami wychodzą na poszukiwanie pokarmu. To nocne stworzenia. Czasami przedostają się do domów mieszkalnych, jeśli siatki w oknach są nieszczelne albo porwane...

Oboje spojrzeli na okna sypialni. W jednym siatka była u dołu porwana. Niewiele. Chyba przez taką małą dziurkę się nie prześliznie, choć kto wie... ?

- Bawełniaki? Ha! I nie warto o nich mówić?

- Są tu jeszcze miedzianki. Pewno pani o nich słyszała?

- Prawdę mówiąc, nie słyszałam.

- Ano, są tutaj, ale znacznie mniej groźne niż wodne mokasyny. Na szczęście wodne mokasyny rzadko tu zagładają. Zbyt daleko do rzeki. Czasami tylko jakiś się zabłąka. One nie gryzą, ale zaciskają... Kiedy byłem mały, to mi opowiadano o jednej kobiecie w Renfrow, a może w Brownsvitle, której dziecko w kołysce... No i ten wodny mokasyn... wśliznął się...

- Dość! - przerwała ostro Chessey. - Przejrzałam pana. Chce mnie pan wystraszyć węzami. Przedtem była głowizna, a teraz węże... Liczy pan na to, że zacznę błagać o odwiezienie mnie do E'town. O nie! Mnie niełatwo wystraszyć.

Derek z niewinną miną postukał się w pierś.

- Ja miałbym panią wystraszyć? Nigdy bym nic podobnie podłego nie zrobił.

Po tych słowach wycofał się pośpiesznie za próg, gdyż Chessey ruszyła do drzwi, by je zatrzasać. Co też uczyniła.

Bawełniaki, miedzianki, mokasyny...! I co jeszcze? Może rogate diabły hasające nocą od farmy do farmy?

Po gorącym prysznicu Chessey zmieniła bieliznę. Nie włożyła własnej sukienki, gdyż w znajdującej się w sypialni komodzie znalazła parę zupełnie dobrych dżinsów i bawełnianą koszulę z krótkimi rękawami. Nogawki dżinsów były za długie, ale je podwinęła parę razy, a zamiast paska, wykorzystwała chustę Hermesa, którą nosiła zawiązaną na szyi. Bawełniana koszula była miękka i na plecach miała wydrukowane imię Derek oraz liczbę jedenaście, z przodu zaś nadruk czerwonego diabła z piłką do siatkówki nadzianą na trójzęb.

Hmm, więc Derek grał w drużynie Diabłów z Brownsville, pomyślała. Nie dziwiło to jej wcale.

Kolację spożywano przy kuchennym stole, nakrytym białym winylowym obrusem. Pieczona kura, pieczone pomidory, puree z kartofli i do nich zawiesisty aromatyczny sos. Na wstępie stary McKenna odmówił modlitwę, dziękując Bogu za szczęśliwy powrót syna do domu. Ojciec był bardzo

przewidujący: w obawie, że dialog Dereka z Chessey może zamienić się w kłótnię, a jego rozmowa z synem okazać się zbyt sentymentalna, postanowił zająć ich uwagę opowiadaniem licznych plotek z okolicznych farm.

Po deserze, podczas którego każdy z biesiadników zjadł co- najmniej po dwa kawałki szarlotki, ojciec oświadczył, że sam wszystko sprzątnie i pozmywa, a młodzi niech idą spać, bo są z pewnością bardzo zmęczeni po trudnym dla nich dniu.

- Jeśli jutro rano macie reperować to ogrodzenie, to musicie wypocząć - oświadczył, jakby pogodził się z myślą, że Chessey nie zostanie rano odwiedzona do E'town.

- Tato, w każdym innym wypadku i każdego innego dnia stanowczo bym odmówił, ale dziś jestem naprawdę zmordowany i prawie że padam z nóg - przeproszał Derek.

- Świetnie cię rozumiem, synu - odparł ojciec.

Derek wstał, klepnął ojca po ramieniu i skinieniem głowy pożegnał Chessey.

- A panienka, dlaczego nie idzie spać? - spytał stary McKenna.

- Chcę pomóc w zmywaniu.

- Nie. Niech pani pozwoli staremu pozostać trochę z samym sobą. Chcę porozmyślać o tym, że syn wrócił do domu. Muszę posmakować tego... Najlepiej robi się takie rzeczy samemu. Panienka się nie obraża na starego. To takie moje humory...

- Ach, nie. Doskonale pana rozumiem. - W głębi serca Chessey była bardzo zadowolona, że może od razu iść do łóżka. Była zmęczona nie mniej

chyba od Dereka. - Poza tym muszę zacząć pracować nad tekstem pierwszego wystąpienia Dereka.

- Nie będę potrzebował! - obwieścił Derek z przedpokoju.

- Przestań się znowu spierać! - odpowiedział mu ojciec, a prawie szeptem zwrócił się do Chessey: - Wiem dobrze, panienko, że chcesz mi zabrać syna.

- Przepraszam, nie patrzyłam na to pod tym kątem.

- Nie masz za co przepraszać, dziecko. Chcę, żebyś mi tylko coś obiecała.

- Co takiego?

- Możesz go teraz zabrać, ale obiecaj, że potem odeślesz mi go z powrotem.

- Mam go zabrać tylko na jeden miesiąc. Derek wróci na farmę następnego dnia po święcie Czwartego Lipca.

- Naprawdę?

- Słowo!

- Spróbuj je złamać, dziewczyno, a oberwiesz ode mnie. - I stary McKenna odszedł szybko, tłumacząc, że mu do oka wpadł jakiś pyłek.

Chessey pustym ścianom powiedziała dobranoc i poszła do gościnnej sypialni. Na stoliku pod ścianą zobaczyła biało-czarną fotografię w ramce. Na zdjęciu jakaś kobieta patrzyła miłośnie na siedzące na jej kolanach dziecko. Derek z matką? Z pewnością.

Dotrzymam obietnicy i za miesiąc odeślę go tu, pomyślała, jakby to od niej zależało.

Rozebrała się i położyła do łóżka, podkładając pod plecy dwie poduszki. W pozycji półsiedzącej położyła sobie teczkę na podciągniętych kolanach i na żółtej kartce z bloczka zaczęła pisać:

„Jestem szczęśliwy, mogąc być dziś w Nowym Jorku w tak dostojnym towarzystwie.

Przekreśliła całe zdanie i napisała:

„Kocham Nowy Jork...”

Eee... Przecież Derek nienawidzi wielkich miast. Gdzieś daleko zaszczekał pies.

„Ja, dumny Amerykanin, stoję teraz przed wami...”

On jest dumny przez cały czas, pomyślała. Zarozumiała, dumny i arogancki. Nie ma sensu wybijać tego faktu w wystąpieniu.

Usłyszała jakiś szelest od strony okna. Spojrzała w kierunku siatki z dziurą.

Bawełniak?

Bzdura!

Może miedzianka?

Tak, tak, a Święty Mikołaj na pewno też istnieje!

Mokasyn wodny?

I może jeszcze dwa czołgi. Zaczęła w duchu kląć na swą chorobliwą wyobraźnię.

Do pokoju bez pukania wszedł Derek z poduszką pod pachą i kocem.

- W mojej sypialni jest klimatyzacja. Idź tam szybko, szalona dyplomatko, bo mogę zmienić zdanie - oświadczył surowym głosem.

Chessey podciągnęła prześcieradło pod brodę.

- Jest mi tu dobrze! - oświadczyła.

- Wcale nie jest dobrze - odparł. - Przez cały czas myśli pani o wężach. I to tak głośno, że nawet ja słyszę.

- Węży się nie boję, a moje myśli pochłania komponowanie pańskiego pierwszego wystąpienia w Nowym Jorku... Wracając do węży, oczywiście, że się ich boję. Każdy boi się jadowitych węży. Ale uważam, że pańskie ostrzeżenia były grubo przesadzone.

- Słusznie pani uważa. Mam wyrzuty sumienia, że panią postraszyłem. Ale skoro jest pani tutaj dobrze, to wracam do siebie.

- Niech pan poczeka...!

Derek obrócił się i zobaczył, że prześcieradło opadło spod brody Chessey i odsłoniło jej krągłe piersi pod cienką koszulką...

Zagapił się. Chessey zastygła.

- Przyjmuję propozycję. Jestem z miasta, przyzwyczajona do klimatyzacji. Chętnie przejdę do pańskiego pokoju...

- Tak też sobie pomyślałem.

Chessey owinęła się kocem, chwyciła poduszkę, teczkę s luźne papiery.

- Jestem gotowa... - Mimo woli zerknęła na okno z dziurą w siatce.

- Chodzi tylko o klimatyzację? - spytał z ironicznym uśmiechem.

Zaczerwieniła się, ale dumnie uniosła głowę.

- Dobranoc, poruczniku! - Opuściła gościnną sypialnię, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Derek źle spał i obudził się na dobre za dwadzieścia szósta. Spał źle, bo dręczyła go obecność na farmie tej kobiety. Przedziwna osoba. Nie można odmówić jej odwagi i determinacji. A może tylko tego, co ojciec nazywał oślim uporem?

Dziwne myśli zaczęły przychodzić mu do głowy. I pytania. Czy Chessey zawsze nosi białe koronkowe figi, jakie mu mignęły, gdy owijała się kocem? Czy czasami nosi też czarną bieliznę? Czy jego osobiste demony muszą go nadal dręczyć, wędrując za nim przez pół świata?

Poszedł do kuchni zaparzyć kawę.

- Idź spać, tato! - powiedział, gdy do kuchni przyczłapał ojciec. - Pomyśl sobie, że to Boże Narodzenie i śpij.

- Mam robotę - odburknął ojciec, ale wyszedł z kuchni, widząc, że syn nie jest w nastroju do rozmowy.

Z kubkiem gorącej kawy Derek poszedł do swojej sypialni zajętej teraz przez nieproszonego gościa i delikatnie zapukał do drzwi. Cisza.

No i dobrze. Niech sobie panna Banks Bailey czy Bailey Banks też pośpi. Miniony dzień musiał być ponad jej siły. Zbyt dużo wysiłku dla delikatnej osóbki, która pewno lubi wysypiać się do południa.

Świetnie! Są rzeczy, które najlepiej robić samemu.

Z szafy w przedpokoju wyjął starą nieprzemakalną kurtkę i włożył ją na koszulę. Rano górskie powietrze potrafi przeniknąć do szpiku kości. W ten sposób zabezpieczony powędrował z kubkiem kawy do sąsiadującej z

domem obory. Po drodze zauważył zabłąkaną łanię, która obgryzała korę z drzewa. Na zdrowie! Łania spłoszona umknęła, niktąc w kładącej się na ziemi porannej mgle.

- Od czego zaczynamy? - usłyszał za sobą kobiecy głos.

Stanął jak wryty, a potem powoli się obrócił.

- Co pani robi na dworze o tak wczesnej porze? - spytał wściekły na siebie, że zaczyna się coraz częściej mylić w ocenie tej kobiety.

- A co pan tu robi, poruczniku? I to z taką głupią miną? - odparowała wesoło.

Chessey miała na sobie bawełnianą koszulę, na niej rozpiętą nieprzemakalną kurtkę ojca Dereka, dżinsy z nogawkami podwiniętymi do pół łydki oraz gumowe buty, także ojca.

- Zostawił pan w kuchni kubek z kawą. Pomyślałam sobie, że to dla mnie...

Derekowi zabrakło słów. Chessey wyglądała uroczo. I uśmiechała się. Na wargach chyba szminka. Włosy nie spięte, ale opadające kaskadą na ramiona. Uniosła kubek, jakby proponowała toast.

- Mam pomagać. Zapomniał pan?

- Nie ma pani pojęcia o robocie - warknął.

- A pan o dobrych manierach. Ja będę uczyła pana, jak należy się zachować, a pan mnie stawiania płotów i co tam jeszcze trzeba zrobić. Ale zaczniemy od mojej lekcji.

Żadna kobieta nie ma prawa wyglądać o piątej rano podobnie uroczo, pomyślał. Psiakrew, psiakrew!

- Jakiej znowu lekcji?

- Zwracania się do różnych osób. W zasadzie powinni byli nauczyć pana tego w akademii oficerskiej. Więc teraz tylko krótkie przypomnienie. Wiem, że nie miał pan wielu okazji spotykania się z senatorami, kardynałami, ambasadorami i innymi dostojnikami. Przypomnę panu, jak trzeba się zwracać do każdego z nich. W Nowym Jorku może ich pan spotkać wielu.

- Zapominasz, kochanie, że nie jadę do żadnego Nowego Jorku. Natomiast ty, sama, lecisz do Waszyngtonu.

- Skoro ja jestem kochanie, to ty musisz być kochaniątko. - Ujęła go pod ramię. - Więc ci oświadczam, kochaniątko, że nie mam innego wyjścia, jak zaciągnąć cię do Nowego Jorku, choćby za włosy. Ale lepiej byś nie był ani łysy, ani rozczochrany...

Chyba po raz pierwszy Derek uświadomił sobie w pełni, jak ważne jest dla Chessey wykonanie powierzonego zadania. I nie chodziło o niego, ale o jej własne życie i karierę, którą on może zrujnować. To znaczy ona jest o tym przekonana i tego się boi. Poruszył go też niemal błagalny wyraz jej twarzy towarzyszący groźbie ciągnięcia ofiary za włosy.

Zmiękł nieco i, acz niechętnie, oświadczył:

- Niech będzie. Żyjemy w wolnym kraju. Każdy może mówić, co chce. Ty też możesz mi mówić o tych swoich zwrotach czy jak tam. Jakby pani i pan nie wystarczyło. Możesz mówić, ale musisz też pomagać mi w robocie.

- Będę pomagała!

- No i mam sobie wybić z głowy, wszelkie nadzieje, że dziś rano odleciś do Waszyngtonu?

- Masz to sobie wybić z głowy. I z góry dziękuję za udzielenie mi dalszej gościny.

- Nic nie mówiłem o udzielaniu dalszej...

Jej uśmiech zamknął mu usta. Wpadł.

- Zaczniemy od tego, jak należy zwracać się do funkcjonariuszy z wyboru...

- Mówisz o tych głupkach w gabinecie twego szefa?

- O niektórych z nich. Moje zadanie jest łatwe, skoro ich tak dobrze ocenileś.

Westchnął głęboko, myśląc tęsknie o oborze, gdzie chciał samotnie spędzić choćby pół godziny.

Podczas dojenia krów powtarzał formułki powitania senatorów, a podczas podbierania jajek kurom męczył się z kurtuazyjnymi zdaniem przeznaczonymi dla duchownych. Naprawiając ogrodzenie kurnika, powtarzał tytuły ambasadorów oraz uczył się grzecznościowych rozmów z prezesami wielkich koncernów. Kiedy zaś z za paznokci Chessey wyciągał drzazgi, mamrotał zwroty mile widziane przez wyższych funkcjonariuszy rządu.

- A mówiłem ci, żebyś włożyła rękawiczki - skarcił swą nauczycielkę, gdy usunął ostatnią drzazgę i dość niechętnie puścił jej miękką dłoń. - Manikiur zniszczony, palce będą spuchnięte.

Choć ją bardzo bolało i zbierało się jej na płacz, Chessey dzielnie parła dalej:

- Byleś nie zapomniał, że do kardynała mówisz „Wasza Ekscelencjo”, a do arcybiskupa „Wasza Eminencjo”..

- Dziesięć razy to słyszałem. Purpura jest ekscelencyjna, a amarant eminencyjny.

Derek z ulgą powitał wezwanie na lunch wykrzyczane przez ojca z ganku. Czuł, że dłużej nie wytrzyma świątłych nauk Chessey.

- A powiedz, do kogo najpierw się zwrócisz, kiedy cię posadzą między ambasadorem przy ONZ a arcybiskupem Nowego Jorku?

- Do bardziej interesującego.

- Derek!

Chessey nie ustała z pytaniami nawet wtedy, gdy zasiedli przy kuchennym stole.

- Powtórzmy jeszcze raz formułki zwracania się do arcybiskupa i kardynała...

Stary McKenna przyglądał się jej z rozbawieniem, ukrywając część twarzy za strączkami fasoli nadzianymi na uniesiony widelec. Oo! Są już na „ty”, pomyślał.

- Czy ty dasz mi wreszcie spokój, Chessey?! - wykrzyknął poirytowany Derek. - Oświadczam uroczyście, że nie mam zamiaru jadać w towarzystwie kardynałów i arcybiskupów. Będę jadał tu, w tej kuchni. I nigdzie się stąd nie ruszę, a oni tu nie przyjadą, bo ich nie zaproszę.

- Możesz być pewny, że cię namówię do wyjazdu. Jeszcze mnie nie znasz - oświadczyła niemal wesoło Chessey, choć wcale nie była pewna swego. Niech jednak Derek myśli, że ona ma tajną broń.

- Jak mnie do tego zmusisz?

Boże drogi, on myśli, że ja... Chessey jak ryba wyciągnięta z wody otwierała i zamykała usta. On myśli, że jeśli go uwiodę, to...

- Nie w ten sposób - odparła.

- Niby w jaki? Ja nic nie powiedziałem.

- Ale pomyślałeś. Widziałam to w twoim spojrzeniu.
- To, co widziałas w jego spojrzeniu, on tam ma od trzynastego roku życia
- odezwał się stary McKenna. - Wtedy gromadami zaczęły tu złazić się dziewczyny.

W tym momencie zadzwonił telefon i Derek poszedł go odebrać. Gdy po kilku sekundach wrócił, oświadczył, że wieczorem wychodzi pograć w bilard.

- Pójdę z tobą - powiedziała Chessey.
- Nie jesteś zaproszona.
- Wiem, że nie jestem.
- Nie będziesz mile widziana.
- To też wiem.
- Ci, z którymi będę grał, to towarzystwo, do którego nie pasujesz.
- To się dopasuję. A poza tym, skąd ty wiesz, do jakiego towarzystwa pasuję?
- Czy nikt nigdy nie pouczył instruktorki savoir-vivre'u, że to niegrzecznie wpraszać się samej...?
- Wiem o tym. Ale mam polecenie niepuszczania cię z oka.
- Ale to jest wolny kraj i ja jestem wolny. Idę tam, gdzie wszyscy są po imieniu i gdzie nie ma żadnych eminencji i ekscelencji. Źle byś się tam czuła...

Po lunchu intensywność pracy wzrosła. Chessey z trudem mogła przekrzyczeć silnik traktora, a poza tym samo towarzyszenie Derekowi wymagało wielkiego wysiłku.

Kiedy wreszcie słońce dotknęło szczytu pasma górskiego na zachodzie, Derek oświadczył, że napracowali się „średnio solidnie” i mogą już wrócić do domu.

- A zaraz po kolacji pojedziemy na ten bilard - oświadczył. - Pewno będziesz chciała się przebrać, bo w tym to tak jakoś...

Chessey była absolutnie tego samego zdania, że w tym, co ma na sobie, nie powinna pokazywać się publicznie. Nieco ją zaskoczyło, że tak niespodziewanie i zupełnie niewymuszenie porzucili „pana” i „panią” i przeszli na „ty”. A inicjatorem był Derek.

Obejrzała swoje ręce. Były w okropnym stanie. No i brudne. Piekły ją też policzki i nos. Za bardzo spaliła je na słońcu. Musi okropnie wyglądać. Jednakże Derek nie wydawał się zgorszony jej aparycją. Wprost odwrotnie: jeszcze nigdy nie patrzył na nią takim wzrokiem. Jakimś miękkim i... jakby czułym.

Poszła do zajmowanej przez siebie sypialni Dereka z myślą, że zaraz weźmie prysznic i przebierze się w swoją różową sukienkę od Chanel, ofiarowaną jej w ubiegłym roku przez kuzynkę Merriweather.

Na łóżku zobaczyła jakąś różową szmatkę. Nim zdołała się domyślić, co to jest, usłyszała za plecami głos starego McKenny:

- Tak sobie pomyślałem, że wypiorę panience to ubranie, ale mi jakoś nie wyszło. Skurczyło się w maszynie. I kilka guzików odpadło. - Podał jej trzy złote guziki z literami CC. - Może da się guziki przyszyć, a materiał rozciągnąć...

Chessey głęboko westchnęła.

- Panie McKenna, musi mi pan pomóc i pożyczyć jeszcze jedną parę dżinsów. Bo inaczej nie będę mogła wieczorem wyjść...

- Na bilard? Dziewczyno! W sobotę nie możesz wyjść w dżinsach. W sobotę kobiety tu się ubierają. W dzień pracują w kombinezonach, a potem biorą prysznic i wychodzą wystrojone jak te lale.

- Lalą to ja dziś nie będę - odpowiedziała, biorąc w palce zupełnie zniszczoną piękną tkaninę, za którą kuzynka Merriweather musiała zapłacić kiedyś fortunę. Teraz sukienka nadawała się najwyżej na ścierki.

- Coś trzeba wymyślić - odparł McKenna. - A na razie idziesz pod prysznic? No, to weź, dziecko, ten marynarski krem.

- Marynarski krem? - Wzięła podany jej słoik z niebiesko-zieloną galaretowatą masą. - Co to jest?

- To jest lepsze od mydła. A tobie po tej robocie potrzeba coś lepszego. Mydło nie pomoże.

Stary McKenna pokiwał głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Chessey czym prędzej poszła pod prysznic. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak brudna, a po wyszorowaniu całego ciała pozostawionym przez McKennę galaretowatym mydłem, tak czysta.

Usłyszała pukanie i założywszy, że to wraca stary McKenna, uchyliła nieco drzwi. Ale w szparze pojawiła się ręka Dereka z jakąś czarną tkaniną i parą jej własnych wypucowanych pantofelków.

- Przymierz. Poczekał za drzwiami na werdykt - powiedział Derek.

Włożyła pantofle na boscie nogi. Bez pończoch wyglądało to mniej elegancko, ale trudno. Przez głowę wciągnęła podaną jej obcisłą sukienkę z lycry. Góra miała krój koszulki bez rękawów, dół był nieco przykusy.

- Mogę wejść i zobaczyć? - Derek wyraźnie się niecierpliwił. Ale to, że czeka, oznaczało, że go obchodzi, jak Chessey będzie wyglądała w tym, co jej przyniósł. Zwykła ciekawość czy zainteresowanie jej osobą?

- Trudno, wejdz. Ale jestem nie uczesana, mam mokre włosy w strąkach... - Otworzyła szeroko drzwi.

- Piękna suknia! Wspaniale pasuje - stwierdził entuzjastycznie.

- Góra jak zwykły podkoszulek i okropnie obcisła...

- Wspaniała suknia - powtarzał Derek. - Pożyczyłem ją od sąsiadki. Ale ty wyglądasz w niej lepiej niż ona.

- Jest zbyt krótka. Lafiryndowata. Moja babka dostałaby spazmów, gdyby mnie w czymś takim zobaczyła.

- Ale cię nie zobaczy, więc o co chodzi?

- Czuję się w niej zupełnie goła...

Derek wziął się pod boki i zaczął cmokać.

- Poznaję zupełnie nową Chessey Banks Bailey. Zupełne чудо. Miałem nosa, że cię pocałowałem tam w gabinecie. Jesteś wspaniała, kochanie!

- Do wszystkich kobiet mówisz kochanie?

- W zasadzie do wszystkich. Bo mam dobre wychowanie. Ale teraz mówię to do ciebie zupełnie inaczej... Z przekonaniem.

Zaczerwieniła się, ale i lekko uśmiechnęła. Teraz Derek powinien jeść jej z ręki. Już nie będzie stawiał oporu, by pojechać z nią do Nowego Jorku.

- Czy nie będę zbyt... ostentacyjna w tym stroju, tam gdzie idziemy?

- Wszyscy będą się na ciebie gapić. Tak jak zawsze mężczyźni gapią się na piękne kobiety. Tak jak ja teraz gapię się na ciebie.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Czyżby to nie on wpadł w jej sidła, ale ona w jego?

- No, ale jeśli masz zamiar gnębić mnie przez cały wieczór swoją obecnością, to lepiej się pośpiesz. Musimy jeszcze zjeść kolację...

- Umieram z głodu - przyznała. - Zjadłabym konia z kopytami. Co jest na kolację?

- Żabie udka bez kopyt.

Chessey zrobiło się mdło. On żartuje, pomyślała. Chce mnie ostatecznie przestraszyć, A jeśli poproszę o coś innego, to mnie odwiezie do E'town i tam zostawi...

Wzięła głęboki oddech i wymuszając na twarzy uśmiech, odparła:

- Żabie udka? To musi być coś wspaniałego. We francuskich restauracjach w Waszyngtonie jest to najdroższe danie.

Derek McKenna rzeczywiście do każdej ze spotkanych kobiet mówił „kochanie”. W barze „U Jake'a” pełno było kobiet, które za to jedno słówko Dereka odpłacały nie tylko uroczymi uśmiechami, ale i gorącymi pocałunkami. Jednakże równie gorąco witali go mężczyźni, choć na szczęście nie obcałowywali. Uśmiechali się, klepali po plecach i wygłaszali stereotypowe zdania, takie jak: „ale ci się udało” albo „cieszę się, że im się wymknął”.

- Pani jest z Waszyngtonu, tak? - spytał barman, stawiając szklanekę przed Chessey, która wiodła wzrokiem za Derekiem witającym się ze starszymi wiekiem bywalcami, siedzącymi przy stolikach pod ścianą. - On się z panią żeni?

- Nie.

- No, to jak się to stało, że stary McKenna wpuścił panią do domu?

- Nie wiem

- Stary jest twardy. Trzymał mocno Dereka. Pilnował go jak cholera... przepraszam panienkę za to słowo, ale pilnował go naprawdę jak cholera, bo Derek miał takie coś, że do niego dziewczyny leciały jak pszczoły do kwiatka. Wydzwaniały od świtu do nocy, nachodziły na farmie, latały za nim po całej szkole w czasie przerw, prosiły, żeby im ciągle pomagał w lekcjach, które mogły zrobić same... Tak to było - zakończył z dumą w głosie rozmowny barman.

- I on się też uganiał za kobietami?

- O nie! Derek to honorowy facet. Żadnej krzywdy nikomu nie robi. I dlatego chłopaki go lubią, bo im sióstr nie podrywał. Derek to fajny facet. Wszyscy się cieszą, że mu się udało.

- Jutro wieczorem musi odlecieć do Nowego Jorku - powiedziała Chessey.

- A on o tym wie? - spytał podejrzliwie barman.

- On wie, że ja tego chcę.

- Dam pani jedną radę, panienko. Czy pani...? Derek to uparciuch. Robi, co sobie uwidzi, że chce zrobić. Jeśli nie podsunie mu pani przekonującego powodu, żeby poleciał do tego Nowego Jorku, to nie polecą. A rozkazy to on przyjmuje od jakiegoś generała albo innego dowódcy. Chociaż, bo ja wiem... Teraz, po tym, co przeszedł, to może nawet i generała nie posłuchać.

Chessey patrzyła na Dereka przygotowującego się do pierwszej partii bilardu. Właśnie z wielką uwagą wcierał kredę w czubek kija. Spędziła z nim

cały dzień, wbijając mu do głowy, jak ma się zachowywać w konkretnych okolicznościach, co mówić, a czego nie mówić, i przez cały czas miała nadzieję, że w którymś momencie Derek przestanie się bocyć, uśmiechnie się i powie, że koniec droczenia się, że oczywiście chętnie wypełni patriotyczny obowiązek i zgadza się przez miesiąc uściskać tyle to a tyle dłoni. Jednakże Derek nie wydawał się skory do tak radykalnej przemiany. Jaki znaleźć argument?

- Dziękuję za radę. - Wyjęła z teczki pięciodolarowy banknot i położyła na barowej ladzie.

- Dziękuję, panienko - odparł uradowany barman.

Obróciła się w kierunku bilardowego stołu, wokół którego kręcił się Derek. Długo mu się przyglądała, a potem postanowiła wykonać pierwszy ruch:

- Derek! - zawołała.

- Słucham, Chessey? - odparł grzecznie.

- Chciałabym, żebyś nauczył mnie w to grać.

- Po co?

- Bardzo mnie ta gra interesuje.

Mężczyźni zgromadzeni wokół stołu, przy którym stał Derek, patrzyli teraz na Chessey. Miała wrażenie, że ją rozbierają wzrokiem. Jest chyba ubrana zbyt, zbyt... Nie mogła znaleźć słowa, choć narzucało się jej określenie, że jest ubrana zbyt bezwstydnie, jak na to miejsce, jak na stosunki łączące ją z Derekiem i jak na jej oficjalną pozycję w administracji państwowej.

To będzie trudniejsze, niż sądziłam, pomyślała. Ale zaszłam już za daleko, by teraz rezygnować. Spróbuję grać wampa. Potrząsnęła głową, przerzucając włosy na twarz. Jedno oko było teraz zakryte blond pasmem.

- Co ty wyrabiasz, Chessey? - Derek był wyraźnie zaskoczony jej zachowaniem i propozycją uczestniczenia w grze.

- Nic. A bo co?

- Po co ci bilard?

- Interesuje mnie.

- Hm... No, to chodź.

Podeszła.

- To jest biała kula. Mam zepchnąć nią czerwoną kulę do kieszeni.

Chessey pochyliła się nad stołem, tylko po to, by Derek lepiej zobaczył to, co chciała pokazać. I przyoblekła twarz w uśmiech, który w jej założeniu miał być uwodzicielski.

- Wiesz co, ty to zrób! - Derek odstąpił od stołu, podając jej kij.

Chessey złożyła się i uderzyła. Czerwona kula wyskoczyła w powietrze, a potem łukiem poszybowała w głąb baru, natomiast biała wylądowała w kieszeni.

- Czy mam jakiś punkt za wrzucenie białej do kieszeni? - spytała niewinnym głosem.

- Nie, Chessey. Tracisz za to kolejkę.

- To niesprawiedliwe. - Złożyła usta w podkówkę.

- Takie są zasady gry.

Przez następne dziesięć minut Derek wyjaśniał jej tajniki gry w bilard, a pomagali mu w tym trzej przyjaciele, jedna była przyjaciółka, obecnie matka

trojga dzieci i najlepsza bilardzistka w miasteczku, oraz barman, który nie miał wiele roboty za ladą.

- To dla mnie zbyt trudne - płaczliwie stwierdziła Chessey pod koniec, zastanawiając się, czy nie przesadzi, jeśli ozdobi swoje zachowanie kilkoma łazami.

Przesadzi. Tego było za wiele. Derek jest zbyt przebiegły, aby się nie zorientować w jej grze.

- Derek dobrze panią nauczy, on jest mistrzem - powiedział któryś z przyjaciół.

- Nigdy nie musiał płacić za swoje piwo - dorzucił barman.

- Zawsze wygrywał i inni musieli mu stawiać.

- Graliście o pieniądze! - wykrzyknęła Chessey, udając zgorzienie.

- Nie uznajesz gry o pieniądze? - spytał Derek.

- Moja babka mówiła, że nie wolno robić zakładów i grać o pieniądze - odparła. - Wiesz co, Derek, mam wspaniały pomysł...!

- Boję się twoich pomysłów, Ale mów!

- Ty nie chcesz jechać do Nowego Jorku, a ja cię tam ciągnę. Nie widać końca sporu.

- Widać. Jutro wieczorem, kiedy ja zostanę, a ty pojedziesz, wszystko się skończy.

- Może rozstrzygniemy to dziś wieczorem?

W barze zapanowała cisza. Wszyscy pilnie słuchali wpatrując się w stojących naprzeciwko siebie Dereka i Chessey.

- W jaki sposób? - spytał podejrzliwie Derek.

- Zagramy jedną partię. Jeśli wygrasz, zostaniesz. Przegrasz, pojedziesz ze mną do Nowego Jorku. Chyba się nie boisz? A jeśli się boisz, to chyba tylko utraty twarzy w obecności przyjaciół.

- Straciłem wprawę, Chessey. Dwa lata w więzieniu... - Czuł, że Chessey zastawia na niego pułapkę. Ale jaką, na miłość boską? On był mistrzem, ona nigdy nie grała.

Jakby odgadując jego myśli, powiedziała:

- Nigdy w to nie grałam. Czy to nie najlepszy sposób pozbycia się mnie na zawsze?

- Za cztery godziny odlatuje z E'town samolot...

- Akceptuję. Odwiedzisz mnie do E'town... jeśli przegram.

- I ja akceptuję - odparł, choć miał wielkie wątpliwości, czy postępuje słusznie. - Ja zaczynam czy ty? - spytał. .

- Mogę ja. - Rozbiła zwarty trójkąt z kul i wbiła dwie kule do bocznych kieszeni.

- Szczęście amatora! - mruknął barman.

Derek otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko zaczerpnął powietrza jak ryba.

- Szóstka do górnej lewej - zapowiedziała Chessey. I po chwili szóstka tkwiła we wskazanej kieszeni.

- Wreszcie znalazłeś godnego przeciwnika - chichocząc, powiedział któryś z przyjaciół.

Derek zaklął w duchu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

-Mogę ci dać tylko jedną radę - odezwał się Derek, zajmując miejsce za kierownicą furgonetki ojca. - Nigdy nie próbuj oszukać oszusta.

- Jesteś oszustem? - spytała Chessey.

-Musiałem nauczyć się oszukiwania - przyznał. - Był to jedyny sposób, aby przeżyć w tamtych warunkach. Umiem teraz doskonale kłamać, oszukiwać, wywodzić w pole, szachrować, kraść, no i w ogóle ignorować sumienie. Wszystko po to, by wyprowadzić z Bagdadu moich ludzi... albo zdechnąć.

- Prawie wygrałam - powiedziała Chessey.

- Byłaś dobra. Gdzie się nauczyłaś grać?

Zdecydowała, że nie będzie nadal udawać osoby, której tylko się poszczęściło, ale wyzna prawdę:

-Dwaj moi wujowie należą do klubu „Kosmos” w Waszyngtonie. Dysponują prywatnymi gabinetami do gry w bilard. Wuj Carson często mnie tam zabierał, kiedy byłam mała. W lecie grałam też w Hampton, gdy odwiedzałam krewnych.

Jednakże nie dodała, że z kuzynkami grała o pieniądze, żeby potem mieć na opłacenie swego udziału we wspólnych kolacjach w mieście. Do dnia dzisiejszego nie spotkała nikogo, kogo nie potrafiłaby pokonać przy bilardowym stole. Derek był pierwszy.

- Niech mi pan powie, drogi poruczniku McKenna: pan od początku nie miał najmniejszego zamiaru jechać do Nowego Jorku?

- Nie.

- I nie ma nic, co zmieniłoby twoją decyzję?

- Nie, Chessey. Nie mogę, nie chcę, nie potrafię! Nie było mnie tu przez dwa lata. Za żadne skarby nie wyjadę stąd po kilku dniach. Jeśli chcesz, zadzwonię jutro do generała albo do twojego szefa, może być do obu, i powiem im to. Jak się nazywa twój szef?

- Winston Fairchild Trzeci.

- I powiem im, że stawałaś na głowie, że budziłaś zdumienie wszystkich swoim samozaparciem, ale ja jestem uparty jak sto osłów.

Chessey siedziała zgnębiona. Przegrała. Przegrała wszystko. Mecz z Derekiem, karierę, szansę zwrócenia na siebie uwagi Winstona...

- Za dwie godziny odlatuje pierwszy samolot. Odwieź mnie do E'town - powiedziała martwo. - Wzięłam teczkę, więc dam ci pieniądze na zapłacenie sąsiadce za tę suknię, którą mam na sobie. Za tę ilość materiału nie powinno być drogo...

- Chessey, ja... mnie... - Chciał powiedzieć, że mu jest bardzo przykro, ale wiedział, że jeśli to powie, to może zmięknąć i kto wie, czy nie wyrazi zgody na te trzydzieści dni. Podświadomie jednak czuł, że czyni tej kobiecie krzywdę. A on przecież jeszcze nigdy w życiu nie skrzywdził żadnej kobiety. Jednakże wyjechać stąd teraz nie może...

Uruchomił silnik i skręcił na szosę. Podczas czterdziestominutowej jazdy na lądowisko towarzyszyło im milczenie i piskliwe tarcie wycieraczek o przednią szybę. Padał kapuśniaczek i wiało zimmem.

Co mi jest, do cholery, pomyślał Derek. Powinienem być szczęśliwy i pogwizdywać z radości, że ta natrętna biurokratka z Waszyngtonu wreszcie się poddała, tymczasem nie czuję żadnej radości, żadnej ulgi, tylko rosnące wyrzuty sumienia.

Chessey tkwiła wtulona w kąt swego fotela i patrzyła tępo przed siebie.

Derekowi cisnęły się na usta słowa prośby o wybaczenie, ale zaciskał zęby i nic nie mówił.

Na lądowisku w E'town panował spory ruch. Pod hangarem stało kilka ciężarówek w oczekiwaniu na świeże produkty, które przyleciały porannym samolotem.

Zatrzymał wóz przy dziupie Rumseya Houchina i sięgnął po leżący za oparciem parasol, żeby zapewnić Chessey osłonę przed deszczem.

- Chessey, zrozum mnie... Ja naprawdę nie mogę... - wydusił wreszcie z siebie.

- Trudno, to nie twoja wina. Nie czyni sobie zbyt wiele wyrzutów. Człowiek nie może zmienić tego, co czuje - powiedziała, wiedząc dobrze, że wcale go tym nie pociesza. Może wprost odwrotnie, wywołuje w nim jeszcze większy konflikt sumienia i kto wie...? - Po tym, co przeszedłeś, zasługujesz na odpoczynek. Nie namawiałam cię na Nowy Jork z pobudek osobistych...

- Nie rozumiem?

- Posłuchaj mnie. Jak zwykle nie ujawniam tego, co czuję. Moim zdaniem byłoby to w złym stylu. Zwykle jestem łagodna i nigdy nikogo nie namawiam, by coś robił wbrew swej woli.

- Mnie namawiałaś.

- Z urzędu, z obowiązku, z nakazu. Nie okazuję też oślego uporu, jak to określił twój ojciec.

- Oj, okazujesz! I sam nie wiem, dlaczego nagle się teraz zmieniłaś. Nie rozumiem twojej rezygnacji z boju.

Chessey nie miała najmniejszego zamiaru przyznać się, że nagle zaczęły oddziaływać czynniki natury osobistej. Zaczęła patrzeć na Dereka jak kobieta na znękanego mężczyznę, a nie jak urzędniczka na przedmiot, który kazano jej sobie podporządkować.

W krótkim czasie zmieniła się właściwie dwukrotnie. Przed paroma dniami ani by jej przyszło do głowy jechać w nieznane z jedną zmianą bielizny i bez zapasowej sukni, tylko ze szczoteczką do zębów i założeniem, że za wszelką cenę musi zmienić czyjeś życie. Nie przyszłoby jej do głowy kłócić się o swoje i dręczyć człowieka, który po dwu latach spędzonych w okrutnym więzieniu pragnął mieć trochę spokoju. I nie przyszłoby jej do głowy pokazać się publicznie w barze pełnym mężczyzn w sukience ze skrawka materiału ledwie wystarczającego na dwie serwetki.

I nagle kolejna zmiana Rezygnacja, bezwolność, apatia.

Jej charakterowi obce było zarówno natręctwo, jakie okazała, goniąc Dereka po Waszyngtonie, jak i stan obecny.

Mogła próbować sobie wytłumaczyć to wczorajsze zachowanie chęcią poprawienia osobistej sytuacji, zrobienia kariery w służbie dyplomatycznej, poprawienia własnego losu biednej krewnej bogatej rodziny. Ubrdała sobie, że wykonując zleczone jej zadanie, zwróci na siebie uwagę Winstona Fairchilda, który dzięki swojej pozycji mógł jej zapewnić dostatnie życie.

Ale czy to był prawdziwy powód? I jaki jest powód rezygnacji po tak wielkim wysiłku?

Co ją wytrąciło ze spokojnego trybu postępowania?

Odpowiedź przyszła nagle. Pocałunek! Ten przedwczorajszy pocałunek zupełnie obcego mężczyzny wytrącił ją z równowagi. Pocałunek ją zmienił. Od przedwczoraj podświadomie pielęgnuje jego wspomnienie, a teraz przyszła chwila, że wspomnienie to trzeba pogrzebać. I oto powody wczorajszego i obecnego zachowania.

A przecież nie był to pierwszy pocałunek w jej życiu. I nie powinien być niczym specjalnym. Zwłaszcza że jego ofiarodawca uczynił to tylko po to, aby udowodnić kilku dostojnikom, iż jest nieokrzesanym głupkiem, którego nie wolno pokazywać publicznie. To nie był pocałunek ofiarowany jej, ale publiczna demonstracja bohatera, który nie chciał światła reflektorów, lecz spokoju po strasznych przeżyciach.

- Powiedz mi prawdę, Chessey, ale szczerą prawdę: dlaczego ci tak bardzo zależało, bym pojechał z tobą do Nowego Jorku?

- Bo moje życie jest pogmatwane, w strzępach - odpowiedziała, nawet nie zdając sobie sprawy, że przecież odkrywa własne myśli i że nigdy, ale to nigdy nie powinna była czegoś podobnego ujawniać.

Derek spojrzał na nią ciepło, ze zrozumieniem w oczach.

- Tak bywa. Każdy miewa taki okres w życiu, że myśli, iż wszystko nagle zaczyna iść źle. Ale to minie.

- U mnie jest to stan permanentny - burknęła. W głowie czuła zamęt. - Jestem życiową nieudacznicą. Ilekroć pojawia się jakaś szansa, to ją marnuję.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że twoja rodzina ma pieniądze, a ty chciałabyś mieć jeszcze więcej i nie udaje ci się?

- Ach nie. Powiedziałam, że jestem z biednego odgałęzienia rodziny.

- Bo to odgałęzienie ma miliony, a główne miliardy?

- Żartujesz. Jest znacznie gorzej.

- Nosisz drogą odzież...

- To, czego nie chcą już nosić moje kuzynki i zamiast do Armii Zbawienia, wysyłają z litości do mnie.

- Grałaś w bilard w Hampton. A „Kosmos” jest ekskluzywnym klubem.

- Moi wujowie czuli się w obowiązku zapraszania mnie na letnie wakacje.

Resztę roku spędzałam w szkole z internatem.

- To nadal nie brzmi jak życie w nędzy.

- Ale się o nią ociera. Moja babka mówiła mi, że wszystko zaczęło się od mojego ojca. Pojechał do Las Vegas. Miał pohulać sobie z tancerkami, ale z żadną się nie żenić. Ożenił się jednak z mamą, mimo że był ostrzeżony, iż w takim wypadku zostanie skreślony z testamentu.

- I został skreślony?

- Skreślony, wymazany. Adwokaci otrzymali polecenie sporządzenia nowego testamentu i pozbawienia go innych apanaży. Po otrzymaniu telegramu z Las Vegas o ślubie babka natychmiast wydała odpowiednie polecenie.

- I co twój ojciec wtedy zrobił?

- Nie mógł zrobić wiele. Jako Banks Bailey nigdy nie nauczył się żadnego konkretnego zawodu. Nie mógł nawet zostać szoferem, ponieważ nie umiał prowadzić. Po co Banks Bailey ma prowadzić, skoro na każde jego skinienie

czeka wykwalifikowany szofer. Nie mógł pracować w restauracji, ponieważ myślał, że gotuje się studolarowymi banknotami. Wiedział tylko, że trzeba znać imię maitre d'hotel. Nie mógł uczyć, bo sam nigdy nie nauczył się niczego wartego przekazania innym.

- No więc, jak twoi rodzice przeżyli...?

- Źle. Na początku moja matka jeszcze tańczyła. Potem zaszła w ciążę i zaczął się slalom ku absolutnej nędzy. Oboje zginęli podczas pożaru mieszkania. Miałam wtedy osiem lat. Pili i palili przez trzy czwarte nocy i zaproszyli ogień... Babka przejęła nade mną prawną opiekę. We wrześniu, przed odjazdem do szkoły, wysłuchiwałam zawsze tego samego wykładu o konieczności zamążpójścia za kogoś zamożnego, abym mogła zwrócić jej to, co na mnie wyduje...

Derek był wyraźnie zaskoczony i poruszony.

- Wyszłaś za mąż młodo? Spłaciłaś długi?

- Ani jedno, ani drugie. Nie wyszłam za mąż, mimo że babka zapłaciła za huczne przyjęcie mające ufetować moją pełnoletność i obwieścić, że oto jeszcze jedna Banks Bailey jest do wzięcia. Ściągnięto na to przyjęcie kompanię potencjalnych kandydatów. Nic z tego nie wyszło, więc wysłano mnie do college'u, bym potem rozpoczęła karierę w administracji państwowej. Moje kuzynki i kuzyni mają zapisane spore sumki, z których mogą korzystać od pełnoletności, ja nic nie dostałam. Płacę za grzech ojca. Wszyscy, którzy wiedzą, czym są Banks Baileyowie, wiedzą również, że mnie należy unikać, bo mnie nic nie zapisano. I wielu myśli, że lada moment machnę ręką na Waszyngton i pojedę do Las Vegas, by pójść śladami matki. A wielu sądzi, że mogą sobie ze mną poczynać, jakbym była...

- Tancerką z Las Vegas?
 - Tak, ale nigdy nie pozwoliłam sobie...
 - Nigdy?
 - Nigdy! I mówię to tobie tylko dlatego, że... nigdy już się nie spotkamy, a ty nie znasz nikogo z mojej rodziny...
 - Stop! Jakie ty masz o mnie wyobrażenie? Nie jestem człowiekiem, który by o podobnych rzeczach rozmawiał z twoimi przyjaciółmi. Ani z wrogami. Z kimkolwiek.
 - Bardzo mnie to cieszy.
 - Ale nie mogę... Bo wiesz, Chessey, masz dwadzieścia i jeszcze parę lat i nigdy...?
 - Tak jest, mam dwadzieścia cztery lata i jestem dziewicą. No to co? Derek zdębiał.
 - Panno Banks Bailey, winien pani jestem gorące przeprosiny za moje zachowanie w gabinecie tego fircyka Fairchilda Trzeciego czy któregoś tam z rzędu. Nie powinienem był cię wykorzystać w ten sposób dla osiągnięcia celu.
 - Jaki to był cel?
 - Przekonać tych dostojników, że nie jestem człowiekiem, który powinien publicznie reprezentować armię Stanów Zjednoczonych,
 - W tym celu wystarczyło chyba podrzucanie orzeszków i chwytywanie ich jak małpa.
 - Jeszcze jak.
- Derek westchnął i odwrócił wzrok.

Po długo trwającej ciszy Chessey powiedziała półgłosem, jakby do siebie:

- Może to śmieszne, ale w innych okolicznościach nie miałabym nic przeciwko temu pocałunkowi... - Patrzyła przez szybę na deszczowy krajobraz. - To nie znaczy, że chciałabym tego, ale oceniałabym go... No dobrze, koniec wyznań, koniec rozmowy. Na mnie czas. Ujęła klamkę drzwiczek, żeby je otworzyć, ale Derek szybko sięgnął przez fotel i chwycił jej przegub.

- Chessey, dobra z ciebie dziewczyna - powiedział. - Jesteś mądra, ładna, bardzo się starasz wykonać to, co uważasz za swój obowiązek, i jesteś dla mnie miła, nawet wtedy gdy na to nie zasługuję. Wracaj do Waszyngtonu. Tam na pewno spotkasz mężczyznę, który będzie na ciebie zasługiwał. Może nawet pod- łapiesz tego Fairchilda. Wyjdiesz za mąż, będziesz miała dzieci... Zapomnisz o tym, co cię teraz gryzie...

- Ma pan rację, poruczniku. Pewno tak się stanie...

- Nie wierzysz mi?

- Nie wierzę. Usiłowałam być odpowiedzialna, godna nazwiska Banks Bailey, ale mi nie wyszło.

- Mogłabyś zostać farmerką... - Słowa były wypowiedziane lekko, w formie żartu, ale...

Tak, mogłabym zostać farmerką. Kobieta, jakiej szuka Derek...

Spoglądali sobie teraz w oczy. Twarze ich oświetlał tylko odbłask palących się w hangarze reflektorów.

Niemal jednocześnie pokręcili przecząco głowami.

Ojciec Dereka miał rację: oboje są uparci jak osły.

- Na pożegnanie mógłbym cię pocałować, a ty na chwilę mogłabyś przestać być panną Banks Bailey. Nikt nigdy nie dowiedziałby się o tej chwili.

Zamknęła oczy. Nie chciała. Nie mogła. Dwadzieścia cztery lata tresowania na damę, na osobę godną nazwiska Banks Bailey. Nie wolno tego ot tak odrzucić.

Z drugiej strony to jest Kentucky, daleko od Waszyngtonu. Pocałunek z człowiekiem, którego już nigdy więcej jej oczy nie ujrzą. Jest jeszcze noc. Nikt tego nie zobaczy... Może i jest panną Banks Bailey, ale zarazem kobietą z pragnieniami...

- Dobrze. Pocałuj mnie - powiedziała. - Pocałuj, ale tylko raz... - i niemal rzuciła się na niego bez zachowania żadnej z reguł savoir-vivre'u, bez wyrafinowania czy elegancji. Może chciała w ten sposób powtórzyć - albo skasować - ów pierwszy pocałunek, jakim on ją obdarzył? Zarzuciła mu rękę na ramiona i wpiła się wargami w jego usta.

Gdy wreszcie Derek zdołał się oderwać, był cały zaczerwieniony.

-O Boże! Całowanie to nie natarcie kawalerii na indiański fort...! - Ja cię poprzednio pocałowałem w chwili, kiedy Bóg odebrał mi rozum. Nie powołuj się na to. W normalnych warunkach wcale tak nie całuję.

- A jak?

-Bardzo delikatnie. Mogę ci zademonstrować. Tylko że najpierw musisz zmienić nieco pozycję. - Przyciągnął ją do siebie tak, że znalazła mu się niemal na kolanach, wciśnięta między jego pierś a kierownicę.

Usiłowała naciągnąć na kolana przykrótką spódniczkę czarnej sukni.

- Nie zajmuj się suknią, bo ona i tak wiele nie zasłania. I nie bój się. Nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy. A teraz zamknij oczy i czekaj na rozpoczęcie podróży. Będzie bardzo przyjemna...

- Ale tylko jeden pocałunek! - zastrzegła i spełniła żądanie: zamknęła oczy w chwili, gdy jego usta dotykały jej warg.

Najpierw zadygotała, potem przeszedł przez nią elektryczny prąd, następnie zrobiło się jej bardzo gorąco i wprost niebiańsko.

Była bliska eksplozji, gdy usłyszała wołanie:

- Hej, wy tam!

Chessey niemal podskoczyła i bezwiednie nacisnęła klakson, który przeciągle zawył.

Po chwili oprzytomniała, siedząc już we własnym fotelu. Derek palcami bębnił o ramę okna samochodu. A tuż za oknem tkwiła wykrzywiona w grymasie uśmiechu twarz Rumseya Houchina.

- Czego chcesz? - spytał- ze złością Derek.

- Przyszedłem tylko spytać, czy komuś potrzebny jest bilecik w szeroki świat, bo pilot chciałby nieco wcześniej odlecieć...

- Ja potrzebuję biletu. - Chessey sięgnęła po teczkę i otworzyła gwałtownie drzwiczki, przed którymi stał Rumsey. Biedak odskoczył w ostatniej chwili. - Ma pan dwie dwudziestki. Reszty nie trzeba. Do widzenia, poruczniku. Życzę miłego życia.

- Dzień dobry! - powitał ją pilot, pomagając wejść do niewielkiej maszyny. - Udał się pani pobyt?

- Raczej nie.

Zajęła miejsce w fotelu i zapięła pas. Patrzyła przez cały czas przed siebie, ani razu nie zerknąwszy w kierunku hangaru. Nie widziała też - gdy samolot wzniósł się w górę i zataczał koło nad lądowiskiem - że obok czerwonej furgonetki stoi mężczyzna i wymachuje czapką.

O dziewiątej była już w swojej waszyngtońskiej kawalerce. Przenikający przez jedyne okno hałas uliczny wydawał się głośniejszy niż kiedykolwiek. Sąsiedzi mieszkający piętro wyżej znowu nastavili radio zbyt głośno. Kwiaty w skrzynce na parapecie okiennym przywiędły. Otworzyła lodówkę. Pusta i do tego brzydsko pachnie.

Kiedy to ostatnio myślała, że życie może być piękne?

Na taśmie sekretarki automatycznej była wiadomość od kuzynki Merriweather. Pytała, czy Chessey mogłaby przyjść na kolację podczas weekendu, a ponieważ kucharka musi wyjść o siódmej, zaś mąż Merriweather nie zgadza się na pozostawienie przez noc brudnych naczyń, czy mogłaby zostać i pozmywać.

Była jeszcze jedna wiadomość. Od Winstona Fairchilda Trzeciego, który zawiadamiał, że otrzymano informację, iż porucznik McKenna nie pojawił się w nowojorskim hotelu, gdzie czekał na niego zarezerwowany pokój i galowy mundur. „Możesz pożegnać się z pracą, jeśli nawaliłaś”, kończył wyraźnie zdenerwowany uroczy przełożony i aby nie było żadnego nieporozumienia, dodał: „Moja sekretarka na wszelki wypadek już pisze wymówienie”.

Chessey położyła się na kanapce, podkuliła nogi pod brodę i postanowiła o niczym nie myśleć.

Ostatnie pełne emocji chwile w E'town, jeden lot, drugi lot, długa droga taksówką do domu, „miłe” wiadomości w automatycznej sekretarce - to wszystko wystarczyło, by poczuła się przeraźliwie znużona. A do tego hałas z ulicy, jazgot radia sąsiadów nad głową...

Tuląc głowę do piersi, poczuła nagle zapach, który ją zelektryzował.

Dereka McKenny!

Jego zapach na czarnej sukni pożyczonej przez niego dla niej.

Zerwała się i z szafy wyjęła nocną koszulę. Przebrała się, a czarną suknię niedbale zwinęła i włożyła... pod poduszkę.

Położyła się, wspominając śpiew świerszczy, muczenie krów, zapach świeżej trawy i... obejmujące ją na chwilę przed odlotem ramiona...

Obudził ją nagle natrętny dzwonek telefonu. Postanowiła nie odbierać, bo przewidywała, że to Merriweather chce sprawdzić, czy Chessey zrobi to, o co była poproszona. Włączyła się automatyczna sekretarka: „Jeśli zechce pan/pani zostawić wiadomość...”

Chessey oczekiwała głosu Merriweather, a tymczasem odezwał się Winston Fairchild:

- Chessey, droga, kochana, wspaniała Chessey...!

Nie brzmiało to jak słowa byłego pracodawcy do dopiero co wyrzuconej pracownicy.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie? Żałuję, że nie mogę cię uściskać. Wiadomość z wczorajszego wieczoru jest nieaktualna. Podrzyj, podepcz, wyrzuć! Mojej sekretarce coś się pokiełbało. A może mojemu asystentowi. Biorę na siebie całą winę, mimo że to ich sprawka...

Chessey chwyciła słuchawkę.

- Pan Fairchild?
- Oo, Chessey, kochana! Jesteś w domu? Co ty robisz w domu?
- Zapowiedział pan zwolnienie mnie. Wobec tego... Już dla pana nie pracuję i jestem u siebie, bo niby gdzie mam być?
- W Nowym Jorku! W Nowym Jorku! Jedź czym prędzej do Nowego Jorku. Pracujesz dla mnie jak najbardziej! Jestem zachwycony twoją pracą...!
- Co takiego?
- Ten McKenna zachowuje się wspaniale. Ale go wytresowałaś! Tych z przemysłu lotniczego owija tak dokoła palca, że zaczną nas błagać, byśmy kupowali ich samoloty taniej. Nasz porucznik jest nieskazitelny, opanowany, heroiczny, jak trzeba, pewny siebie, doskonale wychowany. Nawet podsunął krzesło żonie gubernatora. Gubernator jest wniebowzięty. Oglądam to teraz na kanale CSpan i jestem po prostu zdumiony, jak w tak krótkim czasie udało ci się go ucywilizować. Musiałaś się naharować. Przecież miałaś tylko dwa dni!

Serce Chessey waliło jak młotem. Z trudem zbierała myśli, ale zebrała na tyle, by powiedzieć:

- To, co robię, zawsze robię dobrze. I teraz proszę o obiecany awans.
- Tak, tak, jesteś doskonała. Kiedy skończysz ten objazd z porucznikiem McKenną, możesz sobie wybrać, jaką chcesz pracę. I pewno niedługo wyjedziesz na jakąś placówkę. A skoro rozmawiamy, to zaznacz w kalendarzu, że po powrocie jesteś zaproszona przeze mnie na lunch. No i teraz, po Nowym Jorku, jutro kolejny przystanek... Baltimore.

- Wiem. Odlot po przyjęciu wydanym dziś wieczorem przez burmistrza Nowego Jorku w jego oficjalnej rezydencji...

- Tak, tak. Więc kontynuuj dobrą robotę i pilnuj naszego porucznika! Do widzenia, Chessey, jesteś wspaniała!

- Dziękuję, panie Fairchild...

- Mów do mnie Winston, do widzenia, Chessey! I pamiętaj o lunchu, kiedy wrócisz do Waszyngtonu.

- Będę pamiętała... Winstonie!

Winston odwiesił słuchawkę, w słuchawce zabuczało.

Chessey rozejrzała się po pokoju, który jeszcze przed godziną wydał się jej najohydniejszą norą na świecie. Włączyła telewizor i przerzuciła na CSpan, kanał oglądany przez maniaków interesujących się wyłącznie polityką. Na kanale tym transmitowane są obrady kongresu, a także co ważniejsze imprezy polityczne w kraju. Złośliwcy mówią, że ten kanał jest tak potrzebny jak dziura w moście i że nic nikomu nie przychodzi ani z jego oglądania, ani z uczestniczenia w jego programie w charakterze aktora.

Derek właśnie przemawiał:

„Stoję przed wami, dumny Amerykanin...”

Mówił, mówił, a potem padło sakramentalne zdanie: „...i kocham Nowy Jork, kocham was wszystkich...!”

Z szeroko otwartymi ustami Chessey gapiła się na ekran. Derek miał na sobie wyprasowany galowy mundur. Od czasu do czasu zerkał w kartki. Te, które zostawiła na farmie. Zerkał jednak rzadko, patrząc tak jak trzeba na widownię, ogarniając swoim spojrzeniem setki par oczu utkwionych w niego. Uśmiechał się tak, jak bohater powinien uśmiechać się do swoich

wiernych popleczników i przekonująco perorował na temat ustawy będącej właśnie przedmiotem obrad kongresu. Był jednak na tyle ostrożny, by nie opowiadać się ani za, ani przeciw.

Gdy skończył, rozległy się rześiste, owacyjne oklaski. Żona gubernatora ucałowała go, pozostawiając na policzku Dereka szkarłatny ślad szminki. Arcybiskup Nowego Jorku długo klepał go po plecach, wielu panów w smokingach cisnęło się, by podać mu rękę, a każdy z nich miał nadzieję, że ten właśnie moment utrwala kamery telewizyjne i przekażą milionom podczas wieczornych dzienników.

Chessey wyłączyła odbiornik i pobiegła do szafy, z której wyciągnęła granatową sukienkę i popielato-czarny kostium. Złożyła je i zapakowała do podróźnej torby. Z szuflady wyjęła kilka par pończoch, zapasową bieliznę i dorzuciła do torby. Ubrała się, uczesała, umalowała i niemal biegiem opuściła mieszkanie.

Dokładnie w pół godziny po rozmowie z Winstonem Fairchildem stała na rogu Mac Arthur i Arizona Avenue, usiłując złapać taksówkę. Udało się to jej dość szybko.

Na lotnisku zastała długą kolejkę przed kasą biletową linii wahadłowej do Nowego Jorku. Odważnie podeszła do lady i pokazała legitymację departamentu stanu.

- Podróż służbowa - powiedziała. Hostessa bez słowa wydarła bilet z bloczka i podała Chessey, która z kolei wręczyła swoją kartę kredytową. Po kilku minutach siedziała już w samolocie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Ekscelencjo!
- Eminencjo!
- Ekscelencjo!
- Eminencjo!

Zaraz, zaraz, a ten w białej sutannie? Co mam mu powiedzieć?

Derek zamrugał nerwowo, patrząc na stojącego przed nim duchownego w białym habicie. Co mu na ten temat mówiła Chessey? Czy w ogóle coś mówiła? Kardynał i arcybiskup, to pamiętał i obu rozpoznawał, ale ten...?

Nic mu nie przychodziło do głowy, więc się szeroko uśmiechnął i powiedział:

- Cześć, bardzo mi przyjemnie... - By osłodzić brak tytułu, dodał: - Jestem zaszczycony.

- To ja jestem zaszczycony - odparł biało odziany zakonnik i mocno uścisnął dłoń Dereka.

Do obu panów podeszła pani ambasador przy ONZ.

- Eminencjo! - skinęła grzecznie głową. - Poruczniku, bardzo mi miło. - Podała Derekowi dłoń. - Jeśli się nie mylę, to jutro spotkamy się w Baltimore?

- W Baltimore? Spotkamy się? Ach tak, mam być jutro w Baltimore. Impreza UNESCO, tak, tak. Będę zaszczycony, pani ambasador...!

- Bardzo bym chciała, by podczas jutrzejszego wystąpienia znalazł pan czas na podkreślenie znaczenia...

Pani ambasador długo jeszcze tłumaczyła Derekowi znaczenie międzynarodowej współpracy w dziedzinie walki z analfabetyzmem. Gdy przerwała dla nabrania oddechu, Derek grzecznie się pożegnał i ruszył w tłum, przyjmując gratulacje i uśmiech zgromadzonych znakomitości. Gdy dotarł do tarasu, zobaczył Chessey wymachującą czymś przed nosem ochroniarza. Najprawdopodobniej legitymacją. Przez ramię miała przerzucony pasek pękatej torby.

Podszedł bliżej i stanął za plecami ochroniarza.

- Nie masz pewno zaproszenia, moja droga - powiedział z nieco ironicznym uśmiechem. - Nie wejdiesz. Lepiej wracaj, skąd przybyłaś.

Chessey była wyraźnie zaskoczona tak niemiłym powitaniem. Na chwilę jakby zastygła, ale potem wznowiła natarcie na ochroniarza, do którego dołączył teraz kolega.

- To jest legitymacja departamentu stanu. Jestem tu służbowo - tłumaczyła.

- Służbowo czy nieoficjalnie, trzeba mieć zaproszenie, a ta legitymacja upoważnia tylko do zniżki w kafeterii departamentu - powiedział przybyły ochroniarz.

Derek z zainteresowaniem przyglądał się Chessey. Elegancka panna Banks Bailey nie była dziś zbyt elegancka: kostium pomięty, fryzura nieco potargana, szalik przekrzywiony, na czole kropelki potu. Zmęczenie czy zdenerwowanie?

- To może być też fałszywa legitymacja - wyraził przypuszczenie pierwszy strażnik.

- Fałszywa! Derek, powiedz tym panom...!

Derek się zlitował.

- Panowie, słyszeliście, co ta pani mówi? Jest z departamentu stanu. A poza tym, to moja przyjaciółka. Weźcie jej torbę i gdzieś przetrzymajcie. Chodź, Chessey...! - Ujął ją pod rękę i poprowadził jak najdalej od strażników. - Przyjechałaś tu prosto z lotniska?

- Tak.

- No więc, czy nie powinnaś rozpocząć rozmowy ze mną od słów „Dziękuję, Derek” albo, „Jestem panu bardzo wdzięczna, panie poruczniku”?

Przeprowadził ją przez gęsty tłum do pustej alkowy. Zdążył zauważyć, że Chessey wyraźnie potrzebuje snu, wody, jedzenia i prysznica. Wydawała się śmiertelnie znużona i miała podkrążone oczy.

- Raczej powiem, że bardzo pana przepraszam, poruczniku... Przepraszam za wszystko, za moje zachowanie. Pan był...

- Zaraz, zaraz, po dwu pocałunkach, jednym co prawda wymuszonym, ale drugim dobrowolnym, ludzie mówią sobie po imieniu. A ja mam na imię Derek.

Jak on czarująco się uśmiecha, pomyślała.

- Bardzo cię przepraszam, Derek. Za wszystko...

W alkowie było lustro. Spojrzała w nie.

- Boże, jak ja wyglądam! - Zaczęła poprawiać fryzurę. - I masz rację, że powinnam ci też podziękować. Jestem niezmiernie wdzięczna, że zmieniłeś swą pierwotną decyzję. To dla mnie bardzo wiele znaczy... Nie wyobrażasz sobie, ile to dla mnie znaczy...

- Zmieniłem. I jednocześnie stawiam kilka warunków.

- Jakich?

- Warunek pierwszy: nasze wzajemne stosunki opierać się będą na...
- Wzajemnym poszanowaniu? - spytała niemal zalotnie.
- Warunek drugi: oddaję się w twoje ręce na trzydzieści dni, ani sekundy dłużej. Sprawdziłem w programie: ostatnim moim publicznym wystąpieniem ma być kolacja w Białym Domu w święto Czwartego Lipca. Po ogniach sztucznych, o północy, znikam. I więcej nigdy w życiu nie chcę widzieć na oczy żadnego funkcjonariusza czy funkcjonariuszki departamentu stanu, czy też innego departamentu.

- Oczywiście, to jasne!

- I ciebie, Chessey, czynię osobiście odpowiedzialną za to, że nikt nigdy więcej nie będzie mnie nękał. Ani szef sztabów połączonych, ani sekretarz stanu, ani prezydent. Nie chcę od nich nawet karty bożonarodzeniowej.

- Chessey zastygła. Derek widział jej spojrzenie i wiedział, co ona w tej chwili myśli. Przez chwilę czuł się jak podlec, ukrywając przed nią swoje własne myśli. A miał ich wiele i głównie dotyczyły jej właśnie. Teraz jednak nie wolno mu pisać ani słowa, bo to by wszystko zepsuło. Nie może jej nawet powiedzieć, jak bardzo go uradował jej widok. Widok, jego Chessey"...

Nie mógł jej przecież wyjawiać, czego w tej chwili najbardziej pragnie. Chessey nie jest kobietą, która może mieć romans z mężczyzną i potem akceptować pożegnanie trzydziestego dnia o północy. A z drugiej strony nie jest też kobietą, która potrafiłaby rzucić Waszyngton i wszystkich Banks Baileyów, aby zamieszkać na dziesięcioakrowej farmie w Kentucky.

A on z kolei nie jest mężczyzną, który potrafi pocałować taką, jak ona, kobietę i nie chcieć więcej.

Na końcu języka miał w tej chwili propozycję, by ona przysłała mu jednak na Boże Narodzenie kartę, ale się powstrzymał. To byłoby okrutne.

A w ogóle lepiej niczego nie przewidywać, nie planować i niczego teraz nie zaczynać...

- Trzydzieści dni. Ani dnia, ani godziny, ani minuty dłużej - powtórzył.

- Taki jest właśnie harmonogram - powiedziała. - Winston Fairchild obiecuje...

- W nosie mam Winstona Fairchilda, natomiast stawiam mu jeszcze jeden warunek. Mam nadzieję, że na razie telepatycznie go odbierze, przemyśli i zaakceptuje.

- Jakież to?

- Powiem to tak: uważam, że te trzydzieści dni będzie całkowicie zmarnowane, jeśli po ich upływie nie otrzymasz gabinetu z dwoma co najmniej oknami, trzema sekretarkami i pięcioma telefonami.

Chessey opuściła głowę i zaraz potem ją podniosła, patrząc Derekowi prosto w oczy. Ten gest Derek uznał jako akceptację postawionych warunków. Rozejrzał się dokoła i zobaczył przystojnego mężczyznę, który stojąc na uboczu, sprawiał wrażenie kogoś z personelu rezydencji burmistrza. Podszedł do niego i zapytał:

- Czy mógłby pan mnie i mojej przyjaciółce wykombinować dwa kufelki piwa? Zupełnie nie mam ochoty na szampana. Nigdy go nie polubiłem, a Irakijczycy też mnie do tego trunku nie przyzwyczaili.

- Ależ oczywiście! - odparł zapytany i wprost wyrwał z ręki Dereka kielich szampana, jaki mu wetknięto tuż po przekroczeniu progu rezydencji.

- Amerykańskie piwo czy importowane?

- Tylko amerykańskie.

Mężczyzna odszedł, a Derek usiadł przy stoliku pod oknem, po raz pierwszy czując się trochę mniej spięty od chwili opuszczenia E'town. Może to przybycie Chessey pomogło mu odprężyć się?

- Wiesz, kogo poprosiłeś o piwo? - spytała Chessey, usiadła obok Dereka.

- Kelnera? Sekretarza burmistrza?

- Nie. Gubernatora stanu Nowy Jork.

- Ooo! Dobra okazja, by mu powiedzieć, że jego żona używa złej szminki. Brudzi i trudno ją zetrzeć. Ale oboje tworzą wcale przystojną parę i można im wybaczyć drobne uchybienia.

- UNESCO jest sercem i duszą świata - wypowiedziała sentencjonalnie Chessey, zrzucając pantofle i usadawiając się wygodnie na kanapce hotelowego apartamentu Dereka.

Zastanawiała się, czy w recepcji poprosić o pokój dla siebie, czy też zadzwonić do Merriweather po klucz do jej nowojorskiej kawalerki. Zerknęła na zegarek. Jeszcze nie jest tak późno. Mogłaby zadzwonić. Może zastanie Merriweather... Jednakże tego wieczoru czeka ją dużo pracy z Derekiem przed wyjazdem do Baltimore następnego dnia rano. Zejdzie potem do recepcji i weźmie pokój...

- Poprzez UNESCO pokazujemy narodom świata, że o nie dbamy... - Zamilkła i oblizując wargi końcem języka, zaczęła pisać ciąg dalszy tekstu następnego wystąpienia Dereka.

Jednakże po kilku zdaniach dłoń jej zawisała nad papierem, gdyż do głowy wdzierały się hurmem myśli zupełnie nie związane z UNESCO.

A więc otrzymała drugą szansę... Teraz nie ma już mowy o najmniejszym potknięciu. Byłoby to niewybaczalne. Dlaczego czuje się taka rozczarowana? Czy z powodu wysuniętych przez Dereka warunków?

No cóż, Chessey, ten drugi pocałunek niewątpliwie poruszył cię, ale nie jego. Dla niego to była zabawa, drażnienie się. Derek wie, że kobiety na niego lecą. Ma nieograniczony wybór. Podczas przyjęcia u burmistrza trzy piękne kobiety poprosiły Dereka o numer telefonu. I o numer hotelowego pokoju... Derek zaśmiewał się, opowiadając to Chessey w limuzynie, która odwiozła ich do hotelu.

- Nie mam ochoty z nikim się wiązać - powiedział. - A jeszcze mniejszą na doraźne miłostki. Kiedy zechcę się ożenić, wiem, kogo wybiorę.

- Kogo? - spytała Chessey.

- Mówię nie o konkretnej osobie, ale o typie żony potrzebnej farmerowi.

Chessey pomyślała sobie, że kiedy skończy się ten trzydziestodniowy koszmar - bo miła w założeniu eskapada powoli zaczęła przemieniać się w drogę krzyżową - to posłucha wreszcie rad Merriweather i zacznie chodzić na randki z mężczyznami zalecanymi jej przez kuzynkę. Musi zacząć wychodzić, zdobywać doświadczenie... Spotka się z paroma, to powinno wystarczyć...

- Cleveland... - wymamrotała półsennie, zapominając całkowicie o czekającym ich przedtem Baltimore. - Cleveland jest spichlerzem Ameryki...

- Przecież to dopiero pojutrze! - wykrzyknął Derek.

- Pojutrze.

- Ale nie mów o żadnych spichlerzach, tylko że kocham Cleveland. Odniosło to sukces w Nowym Jorku, że niby kocham Nowy Jork, odniesie i w Cleveland.

Chessey mruknęła coś opryskliwie.

- Dodaję nowy warunek - zastrzegł Derek. - Musisz być dla mnie miła albo się zmywam. Masz się śmiać z moich żartów, a od czasu do czasu masz się ze mną zgadzać. Zaczynij postępować tak, jakbyś wreszcie doszła do wniosku, że jednak nie jestem kompletnym idiotą. Od tej chwili ten warunek jest pierwszym z czterech. I teraz powtórz za mną: „Ja, Chessey Banks Bailey, będę miło traktowała Dereka McKenne.... Powtórz, Chessey...!

Spojrzał na skuloną na kanapie Chessey i westchnął.

- Dodaję jeszcze jeden warunek - mruknął do siebie. - Nie będziesz zasypiała, kiedy do ciebie mówię... Musisz nauczyć się udawać, że moje słowa cię interesują.

Delikatnie zdjął jej z nosa okulary, a potem z królewskiego łoża w sypialni przyniósł kapę i przykrył nią śpiącą dziewczynę. Wyglądała na bardzo znużoną.

- Dobranoc, ty moja specjalistko od dobrych manier - powiedział cichutko. - Bardzo słodka specjalistko...

Zamiast iść do luksusowej sypialni i bezskutecznie próbować zasnąć, usiadł naprzeciwko Chessey w bajecznie miękkim fotelu i zatopił się w myślach o tym, co zamierza robić w życiu. Zasnął, sam nie wiedząc kiedy. I po raz pierwszy nie dręczyły go koszmary z niedawnej więziennej przeszłości.

Derek mamrotał przez sen.

- Panie King...!
- Nazywaj mnie Larry...
- Doskonale, Larry. Chciałem ci powiedzieć, że mieszkańcy Los Angeles są wprost wspaniali...
- W Indianapolis czuję się jak w domu...
- Jutro wyjadę z San Francisco, ale moje serce pozostanie...
- I kiedy ktoś mnie zapyta, czy znam drogę do San Jose, to im odpowiem, że znam ją na pamięć, ponieważ pragnę tu kiedyś powrócić...
- Witam, drogi Nowy Orleanie...!

Skoro już jest dwudziesty trzeci czerwca, to znaczy, że jesteśmy w Des Moines, pomyślała Chessey, wyglądając przez okienko samolotu, który podchodził do lądowania. Wreszcie wylądował i kołował teraz do rękawa dworcowego. Zaznaczyła odpowiednią pozycję harmonogramu. Jutro powrót do Nowego Jorku, skąd mieli lecieć do Indianapolis...

- Obudź się, Derek, jesteśmy na miejscu - powiedziała, dotykając lekko towarzysza podróży.

Derek jęknął, a potem wymamrotał:

- Święty Paweł sprawił, że ten oto chłopak z Południa czuje się tu jak w domu...

- Już opuściliśmy świętopawłowe miasto - odezwała się rozbawiona Chessey. - Opuściliśmy St Paul. Jesteśmy w Des Moines.

Derek usiadł prosto i półprzytomnie rozejrzał się po prawie pustej kabinie pierwszej klasy.

- Iowa? - spytał.

- Jesteśmy w Des Moines - powtórzyła. - A jutro czeka nas Nowy Jork.

- Znowu burmistrz?

- Tym razem kapituła Rady Doradców Ekonomicznych.

- Ooo? Ekonomicznych. Muszę im powiedzieć coś ciekawego, czego może nie wiedzą - zażartował. - Dzwoniłaś do swego szefa? - spytał, wskazując na aparat telefoniczny na stoliku przed fotelem. Musiała go tu przynieść stewardesa, podczas gdy spał.

- Dzwoniłam. Rozmawiasz teraz z panią sekretarz protokołu departamentu stanu - odpowiedziała z dumą w głosie. - Winston jest bardzo zadowolony. Otrzymuje pełne pochwał meldunki.

- I masz gabinet w rogu korytarza, z oknami na dwie strony świata?

- A jakże! Na ósmym piętrze!

- Ile linii telefonicznych?

- Nie wiem,

- Powinnaś była zapytać. - Zmarszczył brwi. - Żeby cię potem nie wykiwali. Ale o sekretarki zapytałaś?

- Tak. Mam mieć dwie. I jednego praktykanta.

- Brawo, Chessey! Twoje akcje poszły w górę.

- Pracowałam ciężko. I zgodnie z twoimi zaleceniami. To znaczy warunkami. Profesjonalnie, bez...

- Wiem, wiem, bez emocji bez myślenia o czymkolwiek poza pracą.

Derek pomyślał sobie, że też pracował bardzo ciężko, aby zarabiać dla Chessey punkty. Mówił prostym językiem, nie wychylił się ani razu, poza tą wpadką z zamówieniem piwa u gubernatora Nowego Jorku. Na szczęście gubernator miał poczucie humoru. Derek słuchał też Chessey i pod jej batutą oczarował chicagowską Izbę Handlową, był słodki podczas wywiadu z

Barbarą Walters, pełen kurtuazji podczas rozmowy z damami z Ligi Wyborczyń. Poza tym posługiwał się poprawnie widelcem i nożem, a także nie siorbał w czasie długich kolacji ze śmietanką polityczną w Nowym Jorku, w Los Angeles i w Houston. No i okazywał się miły, a nawet błyskotliwy w czasie niezliczonych spotkań w ratuszach, klubach rotariańskich biznesmenów oraz na terenie uniwersytetów.

To zaś, co mówił, odpowiadało wszystkim, nawet najbardziej krytycznym komentatorom telewizyjnym. Zalecał bezinteresowność w międzyludzkich stosunkach, wierność ojczyźnie, której jest synem, i wytrwałe spełnianie patriotycznych obowiązków.

Czasami Chessey z wielkim trudem wyzwaliała go od hord łowców autografów lub zwykłych natrętów. Z każdym dniem popularność porucznika McKenny wzrastała i każdy chciał coś z niego uszczknąć dla siebie osobiście lub dla instytucji przez siebie reprezentowanej. Trudno było sobie wyobrazić lepszą lokomotywę akcji upatriotycznienia nieco już odpatriotycznego społeczeństwa.

Chessey z niesmakiem patrzyła, jak Derek co kilka godzin opróżnia kieszenie munduru, ogląda, a potem wyrzuca do śmieci kartki z zaproszeniami lub z numerami telefonów, które mu na przyjęciach czy w drodze wciskały kelnerki, stewardesy, panny z najlepszego towarzystwa, znane modelki, a nawet i przejrzałe matrony.

- Boże, Boże - skarżył się. - Tyle mógłbym mieć kobiet, a życie jest takie krótkie.

Pilot wygasił silnik. Chessey zebrała swoje papiery i schowała je do teczki. Stewardesa najpierw odpięła pas Chessey, a potem pochyliła się nad

Derekiem, by zrobić to samo, i przy okazji upuściła karteczkę z numerem telefonu.

Gdy odeszła, Chessey powiedziała cierpko: .

- Powinieneś wszystkie numery spisać, według miast, a potem już prywatnie objeżdżać stany. Wszędzie czekałby na ciebie wikt, opierunek i coś jeszcze.

- Panna Banks Bailey zazdrosna - skomentował Derek.

Zaczerwieniła się.

- Przecież wiesz, że to wszystko wyrzucam do kosza. Tyle że nie przy tych, którzy mi dają te kartki. Wiesz, na jaką odwagę musi zdobyć się kobieta, by wcisnąć mężczyźnie do ręki swój numer telefonu? Muszę oszczędzać ich uczucia.

Gdy opuszczali samolot, kilka kobiet poprosiło Dereka o autograf, a jedna rzuciła mu się na szyję i ucałowała w oba policzki. W ten sam sposób pożegnała się z Derekiem stewardesa, która przedtem zostawiła kartkę ze swoim numerem telefonu. Tyle że na pocałunek, zamiast policzka, wybrała usta.

W rękawie, w drodze do hali dworcowej, Chessey zatrzymała Dereka i kilkoma chusteczkami wytarła mu z twarzy liczne ślady szminki.

- Muszę to zrobić teraz, bo na sali mogą być reporterzy i fotografowie - wyjaśniła, nie dodając jednak, że sama chętnie zostawiłaby mu podobny ślad.

- Jak nazywa się burmistrz tutejszego miasta? - spytał Derek.

- Do burmistrza trzeba zwracać się „wielce szanowny”...

- Nie o to pytam. Wiem, jak się zwracać do burmistrza. Jak on ma na imię?

- Bud.

- Ma na imię Bud?

- Tak, ale ty musisz...

Nie zdążyła skończyć, gdyż Derek rzucił się przed siebie i wpadł do głównego holu z wyciągniętą do góry ręką i z okrzykiem „Cześć, Bud!”. Dopadł - wiedziony instynktem - zażywnego mężczyznę pośrodku grupki witających go miejskich dostojników i chwycił za obie ręce. Potrząsając nimi, obwieścił głośno na użytek zgromadzonych przedstawicieli prasy:

- Jakże jestem szczęśliwy z naszego spotkania, Bud!

Kamery telewizyjne pracowały. Derek uśmiechał się radośnie, jakby znał burmistrza od dziecka, burmistrz był rozpromieniony, gdyż za kilka minut świat miał się dowiedzieć, że jest wielkim przyjacielem narodowego bohatera. Instynkt Dereka nie zawiódł.

Chessey doszła do wniosku, że ma do czynienia z mistrzem nad mistrzami. Unikatowy egzemplarz nieprzewidywalnego człowieka! Co ją jeszcze czeka w następnych dniach?

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Chessey, to jest nie do zaakceptowania! - odezwała się surowym głosem babka.

Chessey ramieniem przycisnęła słuchawkę do ucha, usiłując wymacać kontakt nocnej lampki. Wreszcie znalazła, zapaliła światło i spojrzała na elektroniczny zegar z datą. Czwartek. A więc jest w Nowym Jorku. Wyrwana ze snu usiłowała zebrać myśli.

- Miło cię słyszeć, babciu - powiedziała.

- Nie wolno tego robić! - stwierdziła babka ponuro. - Zarówno ze względu na samą siebie jak i dobre imię rodziny.

- Czego mi nie wolno robić?

- Ostro to potępiam! Grozi nam wszystkim skandal! Przecież sytuacja jest podbramkowa, użyję ostrych słów: postępujesz jak byle jaka lafirynda. Na pewno są tacy, co określiliby to jeszcze dobitniej. Jak dziwka!

- Co ty wygadujesz, o czym ty mówisz, babciu?

- O tym, co się dzieje. Z dobrego źródła otrzymałam wiadomość, że szwendasz się po całym kraju z mężczyzną. Bez żadnej przyzwoitki.

- Szwendam się?! Urzędowo eskortuję porucznika Dereka McKenę. Urzędowo!

A jeden nieurzędowy pocałunek nic nie znaczy, pomyślała.

- Ty nazywasz urzędowym zajęciem bycie zabawką dla bawidamka?

- Porucznik McKenna nie jest bawidamkiem, a ja jestem pracownikiem protokołu dyplomatycznego i z rozkazu sekretarza stanu towarzyszę mu w propagandowej podróży.

- Nie zawracaj mi głowy. Przynosisz wstyd całej rodzinie. Ledwo przeżyliśmy skandal wywołany przez twego ojca, a teraz ty...

- Małżeństwo mojego ojca to sprawa sprzed dwudziestu sześciu lat...

- No to co? To był skandal, a ty wywołujesz kolejny.

- Za kilka tygodni kończę objazd.

- A wstyd dla rodziny będzie zapamiętany przez lata. Czy mam ci przypomnieć twoje obowiązki rodzinne, Chessey Banks Bailey! Banks Bailey! Obowiązki rodzinne od strony ojca, bo od strony twojej matki obowiązków wiele nie było.

- Powiedziałam ci, babciu, że to jest służbowa podróż. Ja nie sypiam z porucznikiem McKenną... Jego apartament jest kilka pięter nad moim pokojem.

Z wyjątkiem tej pierwszej nocy, kiedy rano obudziła się na kanapce jego apartamentu, przykryta kapą z jego łóżka...

- Tu chodzi nie o jakieś tam fakty, ale o wrażenie, jakie to może sprawić na ludziach.

- Babciu, ja robię to samo, co od kilku lat w Waszyngtonie podczas dyplomatycznych przyjęć...

- W Waszyngtonie, w ciągu dnia. A teraz jeździsz z nim po całych Stanach. Stale z tym samym.

- Na tym polega moja praca...

- No, to zmień pracę, jeśli ci w tym waszym departamencie zamierzają cię wykorzystywać jako... pocieszycielkę wędrujących osobistości. I używam tu łagodnego słowa, bo ostre już znasz.

- Ja nie robię nic złego! - odpowiedziała Chessey z determinacją i tym razem bardzo sucho.

- Chessey, pamiętaj, czym ryzykujesz! Ryzykujesz utratą wszystkiego, a w tym i mojego szacunku. - Po tych słowach starsza pani Banks Bailey odwiesiła słuchawkę.

Chessey przez kilka minut wpatrywała się w martwy aparat telefoniczny, czując się tak, jakby po przeżuciu dziesięciu kawałków gumy wszystko od razu połknęła. Potem położyła się twarzą do poduszki i zaczęła płakać. Płakała jeszcze, gdy po piętnastu minutach do jej pokoju zapukał Derek.

- Muszę cię spytać o znaczenie jednego zdania, które wstawiłaś do mojego przemówienia - powiedział przez drzwi.

Bez słowa otworzyła mu i położyła się z powrotem w poprzedniej pozycji.

- Hej, co się dzieje, Chessey? Jesteś na mnie obrażona? Dlaczego? Co się stało?

- Nic ważnego. Zresztą nie zrozumiałbyś, gdybym ci powiedziała.

- A może jednak nie jestem taki nieinteligentny. Mów!

Odwróciła się, usiadła na łóżku i Derek dopiero teraz zobaczył, że jest zapłakana.

Czuła się nieszczęśliwa i pogwałcona. Wiedziała też, że wygląda okropnie i że ta nocna koszula w ptaszki może wydać się śmieszna Derekowi. A jeśli... No to co?

- Miałam telefon od babki. Powiedziała, że jestem...
- Nie kończ. Domyślam się, co ta stara wiedźma mogła powiedzieć. Czy chcesz, żebym się z nią rozprawił?
- Ależ skąd! To by tylko pogorszyło sytuację. Mogłaby pomyśleć, że rzeczywiście masz do mnie jakieś prawo. Powiedziałam jej, że łączą nas oficjalne stosunki i nic więcej, ale ona nie uwierzyła i uważa, że kompromituję nazwisko Banks Baileyów, jeżdżąc po kraju z mężczyzną...
- No, to niech sobie tak uważa. To jej sprawa.
- Kiedy ja nie chcę stracić szacunku Banks Baileyów!
- Oj, Chessey, Chessey, bądź ze sobą szczerą. Nigdy go nie miałaś i nie masz. I nie aspiruj do niego, bo jest ci niepotrzebny. Miej szacunek do siebie i tego, co robisz. Ich miłość jest ci także niepotrzebna. Poszukaj prawdziwej miłości... - Urwał, jakby zorientował się, że powiedział zbyt wiele.
- Chessey zagryzła wargi i zacisnęła dłonie w pięści, aby powstrzymać cieknące ciurkiem łzy.
- Tak mi przykro, Chessey - odezwał się miękko Derek. - To ja zawiniłem. Moją winą jest pojawienie się w twoim życiu.
- To nie twoja wina. Właśnie twoje pojawienie się pomogło mi wiele rzeczy zrozumieć. A jedną z nich jest to, że gdybym nie wiem jak się starała, to babka zawsze będzie o mnie źle myśleć. Tak, masz rację. Nie jest mi potrzebna miłość Banks Baileyów. Koniec z tym. Sama sobie dam radę w życiu. Dam, dam, dam! - Zaczęła walić pięściami we własne kolana.
- Chessey, kochanie...! - Grzbietem dłoni musnął jej policzek. Odwróciła głowę. Derek cofnął rękę, ale niespodziewanie Chessey wyciągnęła do niego swoją, chwyciła za ramię, przyciągnęła do siebie.

Zrzucił obuwie i położył się obok niej.

Nie zaprotestowała, gdy ją objął obiema rękami, nie protestowała, gdy zaczął całować jej włosy.

Zesztywniała jednak, kiedy usiłował wtulić się w nią całym ciałem.

- Nic się nie bój, Chessey. Jestem ubrany. I jestem tu... dla ciebie. Dla twojego spokoju...

- Jaka ja jestem zmęczona - wyznała szeptem. - Okropnie zmęczona. I tym dniem, i wszystkim... Już zasypiałam, kiedy zadzwoniła babka.

- Zaraz znowu zaśniesz.

- Chyba mi się nie uda.

- No, to nie śpij. Będziemy razem nie spać. Ja też mam trudności z zaśnięciem.

- Nieprawda. Widziałam, jak drzemiesz w samolotach, w samochodach, w autobusach i w fotelach hotelowych.

- No właśnie, właśnie. Podsypiam w ciągu dnia, bo nie mogę spać w nocy.

- A co cię gryzie?

- Wspomnienia. Zaczęło się, kiedy mnie schwyтали...

Nagle puścił Chessey i zerwał się z łóżka, chowając ręce za siebie.

- Boże drogi, co ja robię! Gdyby twoja babka nas zobaczyła, to dostałaby zawału serca.

Miała wielką ochotę powiedzieć, że wcale jej nie przeszkadza przebywanie w jego ramionach, ale uznała, że byłoby to zbyt frywolne i mogłoby zostać źle zrozumiane.

Derek nerwowo drapał się w głowę.

- Nie powinienem był tego robić... - mruknął. - To mogłoby sprowadzić nas na manowce...

- Bez przesady - odparła.

- Jeśli ci nie przeszkadza, to posiedzę sobie u ciebie w fotelu i coś poczytam. Nie będę spał, a nie chcę siedzieć i dumać sam w moim apartamencie. Jest za duży.

- Ależ proszę cię bardzo. Ja może jednak zasnę. A ty na wszelki wypadek weź z szafy koc i poduszkę. Leżą tam zapasowe. Kto wie, czy nie przyjdzie ci ochota na drzemkę.

- Dziękuję, Chessey...

Chessey prawie natychmiast zasnęła, a kiedy obudziła się o szóstej rano, Dereka w pokoju już nie było. Spotkała go dopiero w hotelowym holu, czekającego na lotniskowy autobus. Derek miał niezwykle ponurą minę.

Podczas lunchu z rotarianami kelnerka obchodząca stół z wazą zupy wsunęła pod talerz Dereka złożoną dużą kartkę. Siedząca przy sąsiednim stole Chessey dokładnie wszystko widziała. Nie wyglądało to jak zwyczajowe rzucanie przez rozkochane stewardesy kartek z numerami telefonów. Zwłaszcza że kelnerka, wsuwając arkusik, coś do Dereka powiedziała, a ten kartkę wyciągnął spod talerza, uważnie przeczytał i skinął głową. Kelnerka, wyraźnie zadowolona, odeszła, zapominając zaoferować zupę siedzącemu obok dostojnikowi.

Derek zajął się rozmową i posiłkiem, a przy jakimś nieostrożnym ruchu stracił rękawem złożoną kartkę na podłogę.

Chessey, wysoce zaintrygowana, zadziałała błyskawicznie. Z teczki wyjęła jakiś tekst i podeszła z nim do Dereka.

- Przyniosłam ci poprawiony tekst wystąpienia - powiedziała, nieco się pochylając. Jedną ręką podawała tekst, drugą zgarnęła kartkę z podłogi.

- Co ty wyrabiasz, Chessey, już sto razy poprawiałaś ten tekst! Jak długo można?

- Nie chcesz, to nie. - Wzruszyła ramionami i odeszła.

W damskiej toalecie zapoznała się z treścią kartki. Była to ręcznie narysowana mapka z nazwami ulic i kierunkami jazdy. Wielka litera X oznaczała jakieś konkretne miejsce przy ulicy czy drodze. Pod spodem trzykrotnie podkreślone zdanie oznajmiało, że w miejscu X coś miało się odbyć „punktualnie o godzinie piętnastej!”.

To nie wyglądało na zaproszenie do kobiecego buduaru.

Już parokrotnie, a właściwie wszędzie poza Nowym Jorkiem, Derek się urywał. Znikał z jej pola widzenia czasem nawet na kilka godzin. Z początku myślała, że po prostu odpoczywa w swoim apartamencie, ale potem, gdy telefonowała do niego, okazywało się, że nikt nie odbiera.

Na dwie godziny zniknął jej w Oklahoma City, a na sześć w Cleveland. Wypytywała go, gdzie się podziewał, ale odpowiadał enigmatycznie, że spacerował. Wyraźnie kręcił.

Tym razem postanowiła być czujna i przyłapać Dereka na jego tajemniczych poczynaniach.

A jeśli w grę wchodzi jednak kobieta?

Ponieważ chorobliwa wyobraźnia ma wielkie oczy, Chessey natychmiast zaczęła sobie wyobrażać jakąś blondynkę o wspaniałych kształtach, która jako kochanka Dereka jeździ z nim po całym kraju, ale ze względów

oczywistych musi się ukrywać i wyznacza randki, wykorzystując kelnerki do podrzucania informacji, kiedy i gdzie.

Chessey szybko skopiowała mapkę i raz jeszcze wróciła do stolika Dereka z jakimś nieistotnym pytaniem, a przy okazji podrzuciła mu oryginalną kartkę.

Poszła za Derekiem, gdy ten opuścił salę bankietową grubo po drugiej. Szybkim krokiem zmierzał do wyjścia.

- Derek, może odpoczniesz przed wieczorną imprezą - zaproponowała, dopadając go przy obrotowych drzwiach.

- Waśnie mam zamiar to zrobić, ale przedtem muszę się przejść. Zaczyna boleć mnie głowa.

- Chętnie pójdę z tobą...

- Nie! Nie! Muszę być sam i kilka rzeczy przemyśleć. Ty stanowisz zbyt uroczą dystrakcję, która angażuje całą uwagę. Odpocznij, Chessey, jesteś blada...

Cóż miała robić. Została w holu, a Derek wyszedł na ulicę. Przez szybę widziała, jak umundurowany odźwierny bierze spod ściany wypakowany wojskowy worek i podaje Derekowi, a w zamian otrzymuje banknot.

Ciekawe. Coraz bardziej ciekawe.

Odźwierny podniesieniem ręki przywołał taksówkę, Derek wsiadł do niej i odjechał.

Chessey wyskoczyła jak z procy przed hotel, podbiegła do krawężnika i wymachując ręką, zaczęła wołać: „taxi! taxi!”.

Prawie natychmiast podjechała następna taksówka. Chessey wsiadła i zdyszana z emocji wydała polecenie:

- Proszę jechać za taksówką, która dopiero co odjechała, i nie zgubić jej.

Wyczerpana oparła głowę o zimną skórę obicia fotela i zaczęła rozmyślać.

Może nie powinna robić tego, co robi? Derek ma prawo do pewnej prywatności, choć jest to służbowa podróż... Ale jeśli podczas służbowej podróży Derek wpakuje się w jakieś kłopoty, to Fairchild obarczy Chessey winą. Derek jest narodowym ambasadorem dobrej woli i na jego wizerunku nie może pojawić się żadna skaza...

I nie wolno mu się spóźnić na kolejną przewidzianą programem imprezę...

Z drugiej strony Derek bardzo się stara, robi wszystko, czego się od niego zażąda...

Jednej rzeczy nie mogła od niego wymagać. By ją znów pocałował. On nawet nie próbuje z nią flirtować. Nie próbuje dotknąć. Nie widzi w niej kobiety, tylko urzędniczkę departamentu stanu. Biurokratkę, którą mu narzuciono.

A co cię to obchodzi, Chessey? Po co ci Derek? Kiedy wrócisz do Waszyngtonu, będziesz miała ilu chcesz kawalerów do flirtu i pocałunków.

Co on cię obchodzi?

Bardzo obchodzi...

Po wyjeździe z miasta Derek kazał kierowcy taksówki zatrzymać się na przydrożnym parkingu. Wszedł z wozu, zabierając wojskowy worek. W kępie drzew przebrał się szybko w dżinsy i sportową koszulkę. Galowy mundur złożył i schował do worka. No, bo kto może grać w piłkę w galowym mundurze?

Po kilku kilometrach kazał kierowcy skrócić na drogę prowadzącą do stanowego parku leśnego. Droga kończyła się parkingiem na polance, za którą stały piknikowe stoliki, a przy nich siedzieli ludzie wymachujący w kierunku Dereka. Gdy ten wysiadł, powitały go okrzyki i oklaski.

Jeden z długich piknikowych stołów zastawiony był półmiskami z sałatkami, hot dogami i hamburgerami. Drugi stół zajmowały papierowe talerze i kubki oraz dzbany orzeźwiających napojów.

Derek nie znał wszystkich obecnych. Gospodarzem pikniku był dawny przyjaciel z akademii oficerskiej i to on wszystko zorganizował, zapraszając swoich przyjaciół. Zresztą nieważne, kogo Derek znał, a kogo nie znał. Ważne było, że są ludźmi z jego środowiska, jego mentalności i obyczajów. Zwykli ludzie, a nie nadęci dostojnicy, których miał już po uszy. Żaden z obecnych nie potrafiłby odróżnić widelczyka do ostryg od deserowego, ale wszyscy wiedzieli, kim jest Derek i że jest jednym z nich.

Serdecznie się z każdym przywitał. Któryś z mężczyzn zaproponował zapoznawczy mecz koszykówki, ale zaprotestowały żony, mówiąc, że w tej temperaturze sałatki muszą być szybko zjedzone. Kobieta, która w bankietowej sali udawała kelnerkę i przekazała informację o spotkaniu, rozdała papierowe talerze, życząc smacznego.

Derek już miał podejść do zastawionego stołu, gdy kątem oka zauważył, że na parkowy parking podjeżdża taksówka i wysiada z niej Chessey. Jęknął. Odkryła go!

- Przepraszam was wszystkich, ale mam tu jedną sprawę do załatwienia z pewną panią, która zupełnie niepotrzebnie za mną pojechała. Wrócę za

minutkę. - Ruszył w kierunku parkingu odprowadzony ciekawym wzrokiem obecnych.

- Chessey, wsiadaj z powrotem do swojej taksówki i wracaj do hotelu. Jedź, poczytaj sobie przepisy podatkowe albo przygotuj plan przyjęcia z udziałem dwunastu najważniejszych osobistości świata, z prezydentem włącznie. Spotkamy się wieczorem. Do widzenia!

Drzwiczki taksówki trzymał otwarte.

- Zostanę tu - odparta Chessey. - Wreszcie wiem, co robisz, kiedy nagle znikasz.

- To dopiero trzeci raz. Może czwarty.

- Co to za ludzie?

- Przyjaciele moich przyjaciół.

- Skąd wiedzą, gdzie i kiedy cię dopaść?

- Przyjaciel albo kolega przekazuje wiadomość do miasta, do którego mam przyjechać. Dzisiejszy piknik zorganizował kolega z akademii wojskowej. Właściwie to mało go znam.

- Ale po co to wszystko?

- Dla ojczyzny i dla ciebie, dla twojej kariery, spotykam się z szuchami i prawię im banały o patriotyzmie. A dla siebie mam spotkania ze zwykłymi, normalnymi, szczerymi, prostymi ludźmi. Wiem, że to nie jest twoje środowisko. Ale jest moje. W takim się wychowałem. Właśnie o tych ludziach twoje waszyngtońskie ważniaki często zapominają.

Chessey wspięła się na palce i przez ramię Dereka usiłowała zlustrować obecnych.

- Czy wśród tych zwykłych ludzi jest jakaś niezwykła osoba... - spytała ironicznie.

- Myślisz o jakiejś przyjaciółce?

- Właśnie.

- Nie ma tu takiej.

- A ta fałszywa kelnerka, która podała ci kartkę?

- Żona kolegi, który to wszystko zorganizował. Ja w dalszym ciągu czekam na taką, którą będę mógł zabrać na farmę i przedstawić ojcu bez obawy, że ją wyrzuci... - Uśmiechnął się.

- Nie było nikogo odpowiedniego wśród tych, które podczas tej podróży wcisnęły ci karteczki z telefonami?

- Nie wiem, nie sprawdzałem, karteczki wyrzucałem. Nie lubię kobiet, które za bardzo się pchają.

- Wracamy, panienko, czy mam czekać? - spytał kierowca taksówki. - Niedługo schodzę ze służby...

- Wracasz - odezwał się Derek.

- Zostaję - zdecydowała Chessey. - Bardzo chcę zostać. I nie sprzeciwiaj się temu, Derek. Bardzo cię proszę! Ten jeden raz! A poza tym, dokąd mam wrócić? Do pustego hotelowego pokoju?

Derek pokręcił głową. Ależ ona umie owijać ludzi wokół palca. Koniecznie chce go przez cały czas kontrolować.

Może to niesłuszne podejrzenie, pomyślał. Może ona naprawdę chce być ze mną?

- Dobrze, możesz zostać.

Taksówkarz włączył bieg i odjechał bez słowa.

Derek ruszył przodem. Raz się tylko obejrzał. Cieniutkie pończochy, nieskazitelny granatowy kostium, popielata jedwabna bluzka, fryzura jakby prosto od mistrza grzebienia.

- Dlaczego ty nie wozisz choćby jednej pary dżinsów? - spytał przez ramię i nie czekając na odpowiedź, podszedł do bufetu, gdzie na papierowy talerz nałożył sobie kopiastrą porcję kapuścianej sałatki. - Dziewczęta i chłopaki, przedstawiam wam Chessey! - powiedział bardzo głośno.

- Pewno z Waszyngtonu - odezwał się ktoś z przekąsem.

- Z Waszyngtonu, ale równa babka - stwierdził Derek.

Teraz dopiero Chessey zrozumiała, dlaczego Derek prawie nic nie jadł podczas lunchu z rotarianami. Chciał mieć apetyt na swojskie domowe jedzenie.

Ktoś włączył głośną muzykę, mężczyźni gwarzyli między sobą, matki piskliwie upominały dzieci, aby zjadły coś solidnego, zanim zabiorą się do słodczy... Gospodarz pikniku wręczył Chessey papierowy talerz i szerokim gestem zaprosił do stołu, a następnie rozpoczął z nią ożywioną rozmowę, w której przerywał sam sobie w pół zdania, by wybuchać co chwila tubalnym śmiechem. Chessey się rozochociła, chwaliła jedzenie, owocowy poncz i piękno otaczającego ich lasu.

Po lunchu rozegrano proponowany wcześniej mecz, ale nie siatkówki, tylko bejsbołowy. Grali prawie wszyscy mężczyźni i kilka kobiet.

W tym czasie reszta kobiet zmywała, a z nimi także Chessey, i pakowała puste półmiski do kartonów. Chessey wesoło rozmawiała z dziećmi, a jednej dziesięcioletniej dziewczynce pozwoliła przymierzyć swoje pantofle na

wysokich obcasach, które na pikniku wzbudzały zrozumiałe zainteresowanie.

Słońce zaczęło chować się za koronami drzew. Mężczyźni, poczuwszy nagłe pragnienie, przerwali mecz, by podążyć do stołu z ponczem i piwem.

Chessey przypomniała Derekowi o czekających ich obowiązkach i odlocie jeszcze tego wieczoru.

- Nudzisz, kobieto - odparł. - Siadaj, bo i ja chcę usiąść i wypić piwko. - Z lubością patrzył na trzymany w ręku kufel wręczony mu przez jedną z kobiet.

- Opowiedz nam, jak to było, Derek - poprosił ktoś.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Z twarzy kobiet zniknęły uśmiechy.

- Cóż mam wam powiedzieć... Było źle, bardzo źle. Każdy z nas, pozostawiony sam sobie, wkrótce by zdechł. Ale w kupie nam się udało.

- Ten tutaj Greg... - gospodarz pikniku wskazał palcem chudego mężczyznę - .. jest kuzynem jednego z twoich ludzi. I on mówił to samo.

- Jak się nazywa ten kuzyn? - spytał Derek.

- Na imię mu Bob.

- Pewno Bob Holister?

- Tak.

- Twardy chłop. Można na nim polegać.

- Jest teraz w szpitalu wojskowym. Stan pełnego wyczerpania - wyjaśnił Greg. - I nie ma zamiaru przedłużyć kontraktu.

- Ja też nie - powiedział Derek. - Proszę go pozdrowić.

Chessey przypomniała sobie, że w teczce szeregowca Boba Holistera znajdowało się jego oświadczenie, że Derek ocalił mu życie, ratując w krytycznej fazie choroby.

Derek nie napomknął o tym ani słowem.

- Dlaczego oni was zostawili? - spytał ktoś.

- W Waszyngtonie nie wiedzieli, gdzie jesteśmy - odparł Derek.

- Pewno uznali was za zabitych - powiedziała jakaś kobieta.

- Chyba nie. Ale nie znali naszego miejsca pobytu - wyjaśnił powtórnie Derek. - I nie mieli żadnych dowodów, że żyjemy. Ale z pewnością o nas myśleli... Na pewno. Oficer nigdy nie zapomina o swoich podwładnych...

- Generałowie też nie?

- Generałowie też nie.

Chessey pomyślała sobie, że ci prości ludzie przyszli tu właśnie po to, by z ust Dereka usłyszeć takie zapewnienie. Im potrzebna była wiara w przełożonych. Wojskowych czy cywilnych.

- Chessey, którą tutaj widzicie... - Derek wskazał ją palcem - pracuje w departamencie stanu. I oni tam przez cały czas o nas myśleli i kombinowali, jak by nas wydobyć. Prawda Chessey?

Chessey skinęła głową, pewna, że wielu z obecnych nie uwierzy jej potwierdzeniu.

- Świetne piwo. I świetne było to jedzonko - powiedział Derek. - Warto było wrócić do domu.

- Wszyscy się radujemy, że ci się udało. - Gospodarz spotkania poklepał Dereka po plecach.

- Czas się zbierać. - Derek wstał i leniwie się przeciągnął.

Do miasta zabrał Dereka i Chessey jeden z uczestników spotkania.

Gdy jechali w czerwonym pinto, Chessey nachyliła się do ucha Dereka i szepnęła:

- Aż nie mogę uwierzyć, że wymykałeś się na takie imprezy.
- Wiem. Byłaś pewno przekonana, że w każdym z tych miast mam inną kochankę.

Skinęła głową.

- Miałam prawo coś podobnego podejrzewać.
- Nie, Chessey, ja nie latam za spódniczkami. Ja szukam zupełnie czegoś innego. Szukam zwykłej kobiety, która będzie chciała tego, czego ja pragnę: rodziny, dzieci, własnego miłego domu, spokojnego życia.

- Jesteście na miejscu - powiedział kierowca. - Powodzenia, Derek! Miło było cię poznać, Chessey. Pilnuj swego chłopca!

Chessey zaczerwieniła się po uszy. Derek spokojnie poszedł na tył wozu do bagażnika po swój wojskowy worek.

Kiedy dołączył do Chessey i wchodzili razem do hotelu, powiedział:

- I jeszcze jedno, Chessey...
- O co znowu chodzi?

Ta kobieta musi umieć dobrze prowadzić traktor.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Waszyngton. Koniec wielkiej wędrówki.

Merriweather Banks Bailey Randolph spotkała się ze swoją kuzynką w Szkarłatnym Gabinecie, saloniku przeznaczonym dla pań, które - przed dołączeniem do panów w wielkim holu chcą poprawić sobie fryzurę i przypudrować noski.

Chessey siedziała pod portretem Pierwszej Damy - Jacqueline Kennedy - i Merriweather poświęciła chwilę na krytyczną ocenę złotej sukni, jaką Jackie Kennedy wybrała do pozowania malarzowi. Jackie mogłaby pokazać się lepiej, pomyślała, a widząc Chessey, wykrzyknęła radośnie:

- Wyglądasz wprost wspaniale, moja droga! Jak ci się wiedzie?

- Świetnie. Jak się cieszę, że cię tu spotykam, Merriweather - zrewanżowała się Chessey i poddała się rytuałowi obejmowania i całowania w oba policzki. Miała nadzieję, że kuzynka nie pozostawiła jej żadnych śladów szminki. Chyba nie, pocałunki były właściwie cmoknięciami w powietrzu, a szminka z pewnością najlepszego gatunku.

Widząc wzrok Merriweather, utkwiony w jej suknię, spytała, czy coś jest nie tak, jak powinno być?

- Czy to, co masz na sobie, dała ci kuzynka Margaret?

- Nie.

- Ale przecież nie ja? Pewno dostałaś ją od córki kuzynki Celeste?

- Nie. Sama ją kupiłam.

- Ot tak, poszłaś do Jacobsa i kupiłaś? Bo to jest Marc Jacobs, prawda?

- Pojęcia nie mam. A suknię kupiłam z wieszaka w domu towarowym.

- Niesamowite! Obróć się.

Chessey niechętnie spełniła prośbę Merriweather.

- Boże drogi, kupować sukienkę w domu towarowym! Robisz przedziwne rzeczy... Ale przy okazji: gratulacje z powodu awansu.

- Dziękuję, Merriweather.

- Babcia jest z ciebie bardzo dumna. Mówiła mi.

- Dumna? Przecież była wściekła, rozmawiając ze mną przez telefon.

- Ale to było przedtem, nim zadzwonił do niej osobiście prezydent i poprosił ją o pozwolenie, byś mogła w oficjalnej misji podróżować po kraju z tym porucznikiem. I wiesz co? Nie uwierzysz, ale prezydent przeprosił ją, że nie zadzwonił wcześniej, nim wyruszyłaś w podróż. Tłumaczył się, że miał zbyt wiele spraw na głowie. Wyobrażasz sobie przywódcę wolnego świata usprawiedliwiającego się przed babcią?

- Co mu babcia odpowiedziała?

- Z jej wersji wynikałoby, że go najpierw zbesztła, a potem łaskawie wybaczyła.

- Ciekawa jestem, skąd prezydentowi przyszło do głowy dzwonić do niej. Skąd on w ogóle wie, że ja opiekuję się porucznikiem McKenną?

- Podejrzewam, że maczał w tym palce twój szef, Winston Fairchild. Płotka głosi, że ma cię na oku, a wtajemniczeni mówią, że chce cię mieć dla siebie. Jest coś między wami? Kiedyś mi wspomniałaś, że on bardzo ci się podoba.

- Owszem, podobał. Ale nigdy nie zwracał na mnie uwagi.

- Ale teraz coś planuje. Dzwonił do mnie i wprosił się na doroczne letnie przyjęcie.

- Po co mu to?

- Przecież to jasne. Nie udawaj pierwszej naiwnej. On po prostu chce się z tobą spotkać na grancie towarzyskim. Nasze przyjęcie jest w przyszłym tygodniu. Namiot w ogrodzie, rodzaj pikniku. Małe przyjęcie. Nie więcej niż dwustu gości plus wproszony pan Winston. Zjawisz się, prawda?

- Pewno będziesz chciała, żebym zjawiała się sześć godzin wcześniej i pomogła ustawić namiot.

- Ach nie, jesteś moją ulubioną kuzynką. Przyjdź, tak jak wszyscy, o czwartej na koktajl. - Merriweather odczuła nagle wyrzuty sumienia i objęła Chessey ramieniem. - I wiesz co? Przyrowadź tego przystojnego porucznika McKennę.

- Wątpię, aby tu jeszcze był. On z niecierpliwością czeka na spuszczenie go ze smyczy, żeby mógł umknąć do Kentucky.

- Kilka dni może jeszcze poczekać. Powiedz mu, że Banks Baileyowie go proszą, a natychmiast przyleci. Będzie miał co opowiadać w tym swoim Kentucky. To twoja pierwsza wizyta w Białym Domu?

- Tak.

- Nic dziwnego, że jesteś taka zdenerwowana. Widzę to. Byłam tu już wiele razy. Mój Stephen jest raczej hojny wobec kongresmanów... To znaczy hojnie sypie radami... i jest często zapraszany...

Kiedy prezydent w towarzystwie Pierwszej Damy i prezydenckiej pary z Paragwaju szerokimi schodami zszedł do wielkiego holu, pierwszą osobą, której podał rękę, był Derek. Porucznikowi kazano stać tuż pod

ostatnim stopniem, podczas gdy pozostali goście musieli zatrzymać się o kilka metrów dalej. Prezydent przedstawił Dereka paragwajskim gościom, a media miały okazję uwiecznić uściski dłoni i rozmowę Dereka z obiema dostojnymi parami. Nie rozpieszczano prasy i po kilku minutach wyznaczeni do służby porządkowej żołnierze piechoty morskiej grzecznie wyprowadzili reporterów i kamerzystów.

Gdy za prasą zamknęły się drzwi, prezydent zażartował:

- Teraz możemy się odprężyć i zachowywać swobodnie.

Wszyscy obecni zareagowali obowiązkowym w takich wypadkach śmiechem.

Chessey z dumą obserwowała Dereka. Jej dzieło! Nikt nie przypuściłby, że Derek McKenna nie jest z Waszyngtonu i że przed przyjściem do Białego Domu wytrzymał cztery godziny na trybunie, przyjmując jakąś paradę, która wlokła się w dusznym, wilgotnym upale pełni lata.

Z uśmiechem na twarzy witał się z dyplomatami, ministrami, kongresmanami i senatorami. Sam odnalazł żonę sekretarza obrony i poprowadził ją do stołu, tak jak miał to wcześniej nakazane.

- Zrobiła pani wspaniałą robotę - usłyszała Chessey za plecami. Obejrzała się i zobaczyła szefa sztabów połączonych.

- Dziękuję, generale!

- On ma naturalny urok, ten nasz krnąbrny porucznik, ale był nieprawdopodobnie nieokrzesany. Pani go całkiem odmieniła. Teraz McKenna mógłby zrobić w armii błyskawiczną karierę. Nie musiałby długo czekać na generalską gwiazdkę.

- Niestety, on chce wrócić do Kentucky i zostać farmerem.

- Wielka strata. Wielka strata dla armii! No, ale cóż, wycisnęliśmy z niego, ile można, a on ma prawo do dysponowania własnym życiem. Przy okazji: gratulacje z powodu awansu. I jeśli nie będzie pani odpowiadała departamentu stanu, to proszę zapukać do mnie. Mam miejsce w moim sztabie dla takich ekspertów jak pani. I wspomni pani moje słowa, kiedy będzie pani ofiarowywane stanowisko ministerialne.

Chessey roześmiała się.

- Teraz muszę panią pożegnać. Mam obowiązek odszukania żony przewodniczącego niższej izby i poprowadzenia jej do stołu. Psiakrew... Przepraszam panią, ale to z powodu pomysłów pani kolegów z protokołu człowiek nie może usiąść do kolacji z własną żoną i pozostawia ją pod opieką jakiegoś typka...

- Generale, na dzisiejszym przyjęciu jest pan piątą osobą po prezydencie, a żona przewodniczącego...

- Niech pani oszczędzi mi dalszych wyjaśnień - przerwał jej generał dobrodusznie. - Do zobaczenia, panno Banks Bailey.

Do Wschodniego Salonu poprowadził Chessey oficer piechoty morskiej w galowym mundurze, jeden z wielu wyznaczonych do eskortowania samotnych kobiet o nieokreślonym statusie. Była oszołomiona wspaniałością kolacji, w której uczestniczyli najpotężniejsi mężowie stanu i politycy.

Kryształowe świeczniki lśniły niby diamenty, a na tle bieli i złocień ścian odcinały się znakomicie czarne smokingi i ciemnooliwkowe galowe mundury, udekorowane niby choinki wielobarwnymi medalami. Olśniewały

też stroje kobiet, a blask prawdziwych brylantów przygaszał światła świeczników.

Serwowano zwyczajową siedmiodaniową kolację. Rozmowy toczono przyciszonymi głosami w wielu językach. Mogła w nich uczestniczyć i Chessey dzięki swej znajomości hiszpańskiego i portugalskiego. Paragwajczykowi siedzącym przy jej stole tłumaczyła wystąpienie prezydenta, Amerykanom zaś toasty wznoszone przez Paragwajczyków.

- Czy pani jest z tej właśnie rodziny Banks Baileyów? - zapytał ją sąsiad.

- Z tej, co przybyła do Ameryki na statku „Mayflower”?

- Tak - odparła Chessey na to często zadawane jej pytanie.

- Co ważniejsze, panna Chessey Banks Bailey jest sekretarzem do spraw protokołu w departamencie stanu - wyrwała się siedząca naprzeciwko kobieta.

Skąd ona wie, pomyślała Chessey. Ja jej wcale nie znam.

Miła atmosfera przy stołach spowodowała, że Chessey czuła się już pewniej. Można powiedzieć, że zaczęła się nawet dobrze bawić.

Gdy posiłek zbliżał się ku końcowi i podano kawę, do jej stołu podszedł Derek i poprosił ją o wyjście z nim na balkon.

Przed miesiącem Chessey odpowiedziałaby mu, że podczas oficjalnych kolacji w Białym Domu nikt nie wstaje i nie wychodzi, nim nie zrobi tego prezydent, ale nowa Chessey założyła, że Derek zawsze osiąga to, czego chce, i że trzeba się temu podporządkować.

A poza tym, tego wieczoru brakowało jej Dereka.

I nie tylko tego wieczoru, ale przez cały poprzedni i obecny dzień. Z chwilą wylądowania na waszyngtońskim lotnisku Derek został porwany przez oficerów z Pentagonu i przestał być jej podopiecznym.

Na pustym balkonie Derek nie wiadomo skąd wyczarował butelkę szampana i dwa kieliszki.

- Skąd ty to wzięłaś, na miłość boską? - spytała zdumiona.
- Mam przyjaciela w kuchni. On mi to tutaj zostawił.
- Ty wszędzie masz przyjaciół.
- Pod tym względem mam szczęście.

Stuknął się z nią kieliszkiem.

- Za powrót do domu.
- Za powrót do domu - odparła jak echo.
- Jesteś okropnie smutna, Chessey. A przecież masz to, czego tak bardzo chciałaś. Nie skompromitowałem cię, zdobyłaś awans i uznanie wszystkich. Nawet twojej babki. Wiem, bo rozmawiałem -z twoją kuzynką Merriweather i jej mężem. Powiem ci jedno, ona ubiera się fatalnie. Drogo, ale bez smaku. Głowę dam, że ta suknia, którą masz na sobie, nie jest od niej.

- Nie jest.

- Zdobyłaś wszystko, czego pragnęłaś. Ja też. Domek letniskowy w górach, urodzajną ziemię w dolinie, trochę krów, prawo jedzenia lodów prosto z plastikowego pudełka. Więc oboje mamy to, czego pragnęliśmy. Nie ma powodu, byś była smutna.

- Wcale nie jestem smutna.

- Może ten twój szef Winston próbował się wykręcić sianem i wycofać awans?

- Nie. On okazał się bardzo miły. Wiesz, co on zrobił? Poprosił prezydenta, żeby ten zadzwonił do mojej babki i ułagodził ją.

- Ułagodził? Z jakiego powodu miał ją ułagodzić?

- No bo przecież wiesz, że ona mnie zwymyślała, iż bez przyzwoitki jeżdżę po kraju z mężczyzną. To znaczy z tobą. Ten Winston jest bardzo miły...

- Czyżby?

Chessey zauważyła, że Derek patrzy na nią bardzo dziwnie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, że przyjmowałeś moje rady i sugestie.

- Ja też jestem ci za nie wdzięczny... Mąż twojej kuzynki zachęcał mnie, żebym stanął do wyborów do kongresu.

- Stephen?

- Tak. Powiedział, że wystarczy, bym trzepnął palcami podczas kampanii, a wszyscy będą na mnie głosować, bo zrobiłem się taki popularny. Powiedział, że gdybym został kongresmanem z Kentucky, to przez trzy czwarte roku mieszkałbym w Waszyngtonie.

- Mógłbyś zrobić wiele dobrego - odezwała się Chessey. - Poprawiłbyś wizerunek polityków.

- Nie, Chessey. Nie zmieniałbym Waszyngtonu. Waszyngton zmieniłby mnie.

Chessey zamyśliła się.

Na ciemnym niebie rozbłysły pierwsze ognie sztuczne, tuż za błyskiem rozległy się trzaski pękających rakiet.

Spojrzała na zegarek. Zbliżała się północ.

- Derek, chciałabym... - zaczęła i zamilkła, bo słowa ugrzęzły jej w gardle.

- Ja chciałbym tego samego - odparł cicho Derek. - Ale to nie wyszłoby nam. Wiesz, że nie wyszłoby. I nie płacz, kochanie...

- Wcale nie płaczę.

Ukląkł przed nią i grzbietem palca ocierał skapujące łzy.

- Zawsze ci mówiłem, Chessey, że za żadne skarby nie zostanę ani w wojsku, ani gdzie indziej poza Kentucky i moją farmą.

- Wiem. W tej sprawie nigdy nie kłamałeś. Ale powiedz, czy nigdy nie pragnąłeś, by sprawy wyglądały inaczej?

- Codziennie o tym myślałem i tego pragnąłem. Ale ty wiesz, kim jestem, kim muszę i chcę być. Farmerem. Jestem farmerem. Nie potrafiłbym zostać politykiem. Za żadne skarby nie chciałbym być graczem na waszyngtońskiej scenie. Muszę być farmerem. I towarzyszką mojego życia może zostać tylko kobieta, która potrafi i chce być farmerską żoną. Ty, Chessey, nie pasujesz do tej roli.

Na końcu języka miała słowa zapewniające, że może wszystkiego się nauczyć, ale uznała, że nie ma sensu napraszać się. Bo tak byłoby to zrozumiane. Poza tym, co tu dużo mówić: była kobietą z wielkiego świata, „arystokratką”, która miała obowiązek dowieść całej rodzinie i wszystkim innym, że jest godna nosić nazwisko Banks Bailey.

Zdobyła się na uśmiech. Pomyślała sobie, że jest to uśmiech wisielczy.

- Tak, Chessey. Muszę wracać w moje strony, do rodzinnego domu. Muszę wreszcie zacząć zapominać, być zdolny zamknąć wieczorem oczy i nie myśleć o okropieństwach tamtych dwóch lat...

Lekko dotknęła jego policzka.

- Ja nigdy nie miałam prawdziwego rodzinnego domu, ale rozumiem twoje pragnienie życia u siebie. I wiem, ile cię kosztowało podarowanie mi tego miesiąca. Bo wiem, że zrobiłeś to dla mnie. Dziękuję ci, Derek.

- Boję się, że naruszamy ustalone zasady...

- Przepraszam...

Przez długą chwilę patrzyli w roziskrzone petardami niebo.

Derek sięgnął po dłoń Chessey.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał. - A w każdym razie zadowolona?

- Jestem szczęśliwa i bardzo zadowolona. Mam dobre stanowisko, kto wie, czy moja babka wreszcie mnie nie zaakceptowała. .. Tak, wszystko układa się jak najlepiej. I może będę wreszcie mogła robić to, o czym marzyłam, kończąc studia.

- A cóż to takiego?

- Zostawiać po sobie znaczące dla świata ślady.

Derek głośno westchnął. Sam już dawno pożegnał się z podobnymi mrzonkami, dochodząc do wniosku, że człowiek może zostawić znaczące ślady tylko na swoim własnym podwórku, w swoim własnym zakętym kręgu życia.

- Życzę ci powodzenia - mruknął bez wielkiego przekonania

Chessey wiedziała, że nadeszła chwila, w której musi wyswobodzić swoją dłoń. Uczyniła to i cofnęła się o krok, ciągnąc za sobą rękę i bębniąc palcami po balustradzie.

Rozległy się dzwony katedry Świętego Jana.

- Minęła północ, moja służba się skończyła - obwieścił Derek. - Jestem wolnym człowiekiem i mogę...

Chessey zadygotała, poczuwszy obejmujące ją ramiona.

- Przez cały miniony miesiąc tylko tego pragnąłem - powiedział były porucznik Derek McKenna. - Tylko że chciałem to zrobić we właściwy sposób.

Pocałował ją. Był to bardzo, bardzo długi pocałunek. Namiętny, wyrażający więcej niż tysiąc słów.

Chessey straciła poczucie czasu i miejsca.

Jednakże wszystko się kończy, więc i ten pocałunek miał swój koniec i został zamieniony na kilka głębokich spojrzeń dwu par oczu.

- Zasłużyłaś na to, co cię teraz spotkało - powiedział żartobliwie Derek. - Okazywałaś wobec mnie wyrozumiałość, cierpliwość...

- A ty musiałeś znosić moje natrętne zachowanie.

- Teraz cię pożegnam, Chessey. Odwiedź mnie, gdy będziesz chciała odpocząć od tego fałszywego świata, pełnego intryg, zawiści i nieszczerých uśmiechów. Mój uśmiech zawsze pozostanie szczery...

- Doskonale, zrobię to - odpowiedziała tak wesoło i jakby od niechcienia, że Derek się zdziwił, odnosząc wrażenie, że Chessey zbyt chętnie się żegna z nim. A posądzał ją o głębsze emocjonalne zaangażowanie. Widocznie jeszcze w pełni nie rozgryzł charakteru błękitnokrwistych panien z arystokratycznych rodzin.

Odchodził, poprawiając sobie bezwiednie krawat. Patrząca za nim Chessey miała wrażenie, że Derek lekko się zatacza. Przecież nie jest pijany. Po chwili straciła go z oczu, gdy zniknął w wielkiej jadalni.

Jakże szybko ten miesiąc minął.... Nie zdążyła nawet powiedzieć mu...

- Nie, Derek! Nie! - wykrzyknęła w pustkę balkonu, ale jej głos utonął w huku petard.

Przecisnęła się przez tłum gości, którzy właśnie teraz ruszyli hurmem na taras, by obejrzeć podniebny spektakl święta Czwartego Lipca. W jadalni Dereka już nie było. Zbiegła do holu schodami wyłożonymi czerwonym dywanem i zaczęła się rozpaczliwie rozglądać, ignorując pytanie żołnierza piechoty morskiej, w czym jej może pomóc.

Pomóc sobie mogła tylko ona sama.

Unosząc długą spódnicę, wybiegła przed wejście, spod którego odjeżdżała właśnie zwykła waszyngtońska taksówka, w kierunku wejścia szedł Winston Fairchild Trzeci w towarzystwie sekretarza stanu.

- Chessey, sekretarz stanu pragnie pogratulować ci awansu! - powiedział Winston.

Błądząc myślami zupełnie gdzie indziej, Chessey przyjęła uścisk dłoni szpakowatego mężczyzny i nawet się do niego uśmiechnęła.

Już odchodziła, kiedy Winston powiedział:

- Zapomniałbym, Chessey. Do mojej sekretarki zadzwonił ojciec Dereka i zostawił wiadomość dla ciebie. Przypomina, że podjęłaś zobowiązanie i masz je wypełnić. Jakie zobowiązanie? Wiesz, o co tu chodzi?

- Obiecałam mu, że po miesiącu jego syn wróci na farmę. I właśnie w tej chwili chyba już wraca - odparła.

Zdobyła wszystko, czego zawsze pragnęła. Konferencje i narady od świtu do nocy. Czternastogodzinny dzień pracy. Memoranda, które będą czytali ambasadorowie, ministrowie, a może nawet i sam prezydent.

Spotkania, planowania, opracowania... Pochwały za odnoszone sukcesy... i zmiana stosunku do niej wielu członków rodziny Banks Baileyów. Kuzyni i kuzynki zaczęli w niej widzieć cennego gościa podczas wielkich przyjęć, a nie ubogą krewną, którą zaprasza się z litości. Jej wujowie zaczęli pytać o rady w sprawie sposobów i zwyczajów prowadzenia interesów w świecie. Pytali, co komu trzeba dać, komu składać wizyty i tym podobne. Nawet babka oświadczyła jej podczas telefonicznej rozmowy, że jest z niej „prawie dumna”.

- Gdybyś się tylko jeszcze ustatkowała, wyszła za miłego dyplomate, oczywiście amerykańskiego, z departamentu stanu. No i z dobrej rodziny - radziła.

Z pewnością przez cały czas babka myślała o Winstonie, który często przychodził do gabinetu Chessey z kanapkami, gdy mieli pracować do późnego wieczoru.

Chociaż zachowywał się nienagannie, Chessey wiedziała, że wkrótce będzie próbował podjąć rozmowę na ściśle osobiste tematy i zabierze się do całowania. Zarówno Winston, jak i Chessey, mieli w oczach postronnych obserwatorów wszystkie znamiona potencjalnej typowej waszyngtońskiej pary.

Chociaż przed kilkoma miesiącami Chessey o czymś takim mogła tylko marzyć - no i marzyła! - obecnie bała się chwili, kiedy ze strony Wmstona padnie pierwsze słowo albo ujawni się pierwszy gest.

Któregoś sierpniowego wieczoru Winston przyszedł z wielką papierową torbą pełną listów.

- To dla ciebie, Chessey. Nasz referat listów zbiera to od wielu tygodni.

Zaskoczona Chessey wyjęła z torby pierwszy z brzegu list.

- To przecież do Dereka! - powiedziała.

- Ale na twoje ręce. Departament stanu nie udziela informacji na temat miejsca zamieszkania Dereka. Otwórz listy i przeczytaj.

- Nie mogę. To jego poczta.

- Wyślesz mu to?

Chessey przypomniała sobie słowa Dereka, że nie chce nawet karty pocztowej z życzeniami świątecznymi.

- Nie - przyznała. - On by tego nie chciał.

- No, to otwórz choć ten jeden list i zobacz, co jest warta ta korespondencja.

Chessey rozcięła kopertę i przeczytała:

„Drogi Panie Poruczniku!

Może pan sobie mnie nie przypomina, ale spotkaliśmy się w Albany, w stanie Nowy Jork. Opowiedziałam panu wtedy o moim synu chorym na raka. Rak przeszkodził mu w spełnieniu jego marzenia zostania zawodowym oficerem. Pan zgodził się go odwiedzić. I dowiedziałam się od syna, że go pan odwiedził i zabrał do bazy wojskowej, by poznał pańskich przyjaciół i zobaczył, jak to wygląda w wojsku...”

Chessey przerwała, bo przypomniała sobie, jak przez trzy godziny wydeptywała beton pasa startowego, czekając na Dereka, który gdzieś poleciał specjalnym wojskowym samolotem. I jak się wtedy zdenerwowała.

- Czytaj dalej - powiedział Winston. - To na swój sposób jest interesujące.

„Mój syn Joe zmarł w ubiegłym tygodniu, ale chcę panu powiedzieć, że do ostatniej godziny życia mówił o tym dniu, który nazwał najszcześniejszym dniem w życiu...”

Chessey odłożyła list.

- Ojej! - zareagował Winston.

- Nic nie wiedziałam, że Derek to zrobił - przyznała.

- Kiedy przeczytasz inne listy, też pewno znajdziesz wiele niespodzianek.

- Winston pokiwał głową. - Chessey, czasami sobie myślę, że jestem tępym urzędasem.

- Nie jesteś tępym urzędasem.

- Owszem, jestem. Manipuję nieustannie ludźmi, ale właściwie nic nigdy nie robię dla nich dobrego. Najbliższemu sąsiadowi nie pomagam, chyba że zgubi się gdzieś za granicą i trzeba urzędowo zareagować. Nie myślę nawet dobrze o ludziach dokoła mnie, chyba że się oddalają na tysiące kilometrów od kraju. Jestem nieuprzejmy wobec mojego fryzjera, zadzieram nosa wobec portiera, nawet nie daję na Boże Narodzenie prezentu listonoszowi.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Derek jest inny, lepszy?

- Chyba tak. Lepszy jest człowiek, który oddziałuje na najbliższe otoczenie, a nie tylko na świat, który zna z dokumentów i widzi na ekranie telewizyjnym. Lepszy jest człowiek, który pomaga ludziom wokół siebie, a nie tylko anonimowym jednostkom rozsianym gdzieś po świecie...

- Ale czasami czynisz coś dobrego również dla ludzi będących blisko ciebie...

- Na przykład?

- Zadzwoń do prezydenta, wyjaśnij moją dwuznaczną sytuację i proś, żeby porozmawiał z moją babką...

- Droga Chessey, zrobiłem to tylko dlatego, że Derek McKenna oświadczył mi, że jeśli tego nie zrobię, to on zwija żagle, leci do Waszyngtonu i da mi w pysk.

Chessey aż się zachłysnęła.

- Wiesz co, Chessey, jak na pannę Banks Bailey to jesteś bardzo głupia. Ten człowiek cię kocha. Może się z tobą nie zgadzać, może nie chcieć zrobić tego, czego od niego żądasz, może być w jednej chwili przerosłym chłopcem, a w drugiej starym zrzędem, ale on cię kocha. Czy to nie jest najważniejsze w życiu?

- Uparte osły! - powtórzył stary McKenna, wkładając okulary, aby móc przeczytać menu w Brownsville Cafe, dokąd zaprosił syna na lunch. - Oboje zaparliście się jak osły, żeby sobie nie powiedzieć, że się kochacie.

Derek potrząsnął głową.

- To nie jest miłość. To chwilowe zadurzenie. Z jej strony, bo nigdy nie miała mężczyzny, z mojej, bo od dawna nie miałem żadnej kobiety.

- No, to dlaczego przestałeś nagle patrzeć na kobiety dookoła siebie? Nie umawiasz się na żadne randki. A wszystkie kobiety tylko na ciebie łypią.

- Nie jestem nimi zainteresowany.

- Otóż to!

Derek przemilczał tę uwagę. Nie miał też zamiaru przyznawać się ojcu, że bardzo mu brak Chessey. Tak mu jej było brak, że chwilami gotów był przykuć się kajdankami do jakiejś rury, żeby nagle nie wyskoczyć z domu i

nie pojechać do E'town, złapać samolot i szybko znaleźć się w Waszyngtonie.

Mógł też zostać w wojsku. Szef sztabu powiedział mu, że jeśli chce, to otrzyma pracę w Pentagonie, a potem... potem czeka go niebotyczna kariera.

Pokręcił głową. Pentagon? W żadnym wypadku.

Mógł też znaleźć się w Waszyngtonie, gdyby przyjął propozycję kandydowania do kongresu. Jedna ze stacji telewizyjnych przeprowadziła w tej sprawie badania opinii publicznej i nazwisko Dereka znalazło się na pierwszym miejscu listy kandydatów.

Zająć się polityką? Nigdy.

Mógłby spytać Chessey, czy jednak nie zgodziłaby się osiedlić w Kentucky. Absurdalny pomysł. Pracując na farmie... połamałaby sobie wszystkie paznokcie w ciągu jednego tygodnia i co wtedy? Panna Banks Bailey załamałaby się zupełnie.

Znowu potrząsnął głową. Sytuacja bez wyjścia.

On i ona należeli do dwu odrębnych światów, mieli odrębne koncepcje życia. Nie ma wyjścia. Musi o niej zapomnieć.

- Co to jest, tato? - spytał, podnosząc talerz o srebrnym obrzeżeniu i z herbem pośrodku. - Przecież tu mieli zawsze zwykłe talerze. A to jest jakaś droga porcelana.

- Nie wiem, co to jest, ale ja wezmę hamburgera i pommes frites.

- Co to takiego te „pommes frites”? - spytał ojca.

- Frytki! Na miłość boską, Derek! Pomyślałby ktoś, że wychowałeś się w stajni.

- Tak dokładnie było, tato. I po co mi wiedzieć, co to są „pommes frites”, skoro jest na to nasze amerykańskie słowo: frytki. - Teraz z kolei Derek podniósł mały widelczyk. - A co to znowu? Nie mają uczciwych widelców?

- Chyba cię Chessey nauczyła, że tak wygląda widelec do ryb.

- A tu pan ma widelec do sałaty i widelec do mięsa - dodała kelnerka, która właśnie podeszła do stolika. - I ma pan jeszcze widelczyk deserowy, łyżkę do zupy, łyżeczkę do kawy...

Derek zerwał się i rozejrzał po sali. Wielu klientów, którzy słyszeli głośne pytania Dereka, patrzyło teraz na niego z dezaprobatą.

Co tu się do cholery dzieje, zapytywał siebie Derek. Ci ludzie zachowują się zupełnie inaczej niż przedtem. O właśnie: pani Stevens, właścicielka sklepu alkoholowego, je kurę nożem i widelcem! Niesamowite! Ned Senko i John Scherer, współwłaściciele plantacji tytoniowej, piją kawę ze śmiesznie małych filiżanek! Zwariowali! Pod oknem siedzieli bliźniacy Houchin, znani w okolicy jako najbardziej niesforna para. Teraz mają na kolanach rozłożone białe serwetki. Lniane!

- Mam panu jeszcze wytłumaczyć do czego służą wszystkie noże? - spytała kelnerka.

- Nie potrzeba - warknął.

- Bo nasz lokal ma teraz klasę - obwieściła kelnerka. - Nowa szefowa tak chce...

Derek, tknięty przeczuciem, zerwał się i pobiegł do drzwi kuchennych, którychomalże nie wyrwał z futryny, gwałtownie je otwierając.

Odziana w biały fartuch stała pochylona nad stołem Chessey i specjalnym nożykiem dzieliła i układała na półmisku pomidory. Na widok Dereka nie podniosła nawet głowy. Zerknęła tylko z ukosa.

- Kiedy tu przyjechałaś? - zapytał wściekły na siebie, na własną głupotę i ślepotę.

- Zaledwie przed dwoma tygodniami. Zadzwoiłam do Winony i ona powiedziała mi o tym lokalu. Że jest na sprzedaż. Winston pożyczył mi pieniądze, no i kupiłam.

- Winston, ten Winston Fairchild pożyczył ci pieniądze? Dlaczego to zrobił?

- Powiedział, że choć raz w życiu chce zrobić coś dobrego dla innego człowieka.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zamierzasz przyjechać? Straciłem dwa tygodnie życia. Naszego życia!

- Nie byłam pewna twojej reakcji. To brzmi niemal jak wrabianie mężczyzny w coś, czego on może nie chcieć, kiedy kobieta przenosi się do innego miasta specjalnie dla niego.

Derek zamknął oczy i dziwnie kołysał się na nogach. Potem wypuścił długo wstrzymywane powietrze i obwieścił całą kuchnię, a z pewnością i sali:

- Chessey, jesteś mi potrzebna, bardzo potrzebna! Z niechęcią się poddam, ale jesteś mi cholernie potrzebna!

- To znaczy, że akceptujesz moją decyzję przyjazdu?

- Zlikwidowałaś waszyngtońskie mieszkanie i zrezygnowałaś z ministerialnej kariery?

Skinęła głową, ale po chwili wyszeptała:

- A jeśli nam nie wyjdzie...? Nie wiem, co wtedy zrobię... - Złożyła usta w podkówkę, jak mała dziewczynka.

- Przestań krakać, bo nie ma nic złego do wykrakania. Sprawa jest pewna. Wiesz, jaki jestem. Ja wiem, jaka ty jesteś. I mamy jedną wspólną cechę. Jesteśmy oboje uparci jak osły.

- Mam nadzieję, że masz rację, bo moi kuzyni i kuzynki uważają, że postradałam zmysły. A babka powiedziała, że zawsze podejrzewała, iż w końcu zejdem na złą drogę.

- Dobrze wybrałaś, Chessey, nie popełniłaś błędu. - Ujął jej dłoń i położył sobie na sercu. - Słyszysz, jak bije miłością do ciebie? A poza tym muszę być posłuszny woli ojca. Nie wolno mi było sprowadzać do domu kobiety, której nie mam zamiaru pojąć za żonę. No i takiej nie sprowadziłem.

- Ale czy on mnie aprobuje? - spytała. - Powiedział przecież, że jesteśmy zbyt uparci, by móc współżyć...

- Będzie zadowolony. Dostarczymy mu rozrywki naszymi kłótniami. On bardzo lubi dobre kłótnie. Wbrew temu, co możesz sądzić, bardzo go bawiły nasze spory... Chessey, kocham cię!

- Ja ciebie też kocham. Bardzo!

Otworzyły się drzwi i wszedł stary McKenna, najwidoczniej zniecierpliwiony nieobecnością współbiednika.

- Jeśli wam to nie przeszkadza, gołąbeczki, to przerwijcie gruchanie i dajcie mi coś jeść. Potem możecie sobie gruchać, ciskać talerzami albo wyrzaskiwać, że to drugie nie ma racji...

Derek porwał ze stołu miskę z czipsami i wpakował ją w ręce ojcu.

- Ojciec nie ma za grosz romantyzmu - oświadczył.

- Nie zauważyłam, byś ty się płał w romantyzmie - odparła Chessey.

- Zaraz ci pokażę! - Objął ją, przytulił i zabrał się do jednej z wielu serii bardzo długich pocałunków, jakimi miało być znaczone ich życie.

Jednakże tym razem Chessey wysliznęła się szybko z objęć, by porwać z półki notes oraz pióro. Derek natychmiast wyrwał je z jej rąk.

- O nie, kochanie, romantyzm, o jakim mówimy, nie potrzebuje papieru ani pióra! -I ponownie pochwycił w ramiona swą przyszłą żonę.

Ojciec, zrezygnowany, machnął ręką i pogryzając chipsy, wyszedł dyskretnie z kuchni.

RS